



Wiesław

Pra
sto
ński



Wszyscy jesteśmy żeglarzami
Wiersze zebrane

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXIX Nr 11(339) Żelów, listopad 2024

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Wacława Buryły, Krzysztofa Grabonia, Katarzyny Osuch-Leniec, Iwony Pinno, Elizy Segiet, Jana Tulika, Kaliny Izabeli Zioly

Andrzej Dębkowski – *Po prostu dobry człowiek*

Józef Baran – *Ławeczka Barana* (24)

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności* (217)

prof. Ignacy S. Fiut – *Miasto – to dom dla poety*

Stefan Jurkowski – *Sensy i bezsensy*

Joanna Friedrich – *Lucky chain. Chain, chain, chain...*

Andrzej Walter – *Pragnienia w nieba błękitcie*

Kazimierz Ivosse – *Krzyk z za grobów*

Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem* (62)

Eugeniusz Kurzawa – *Spis treści* (26)

Juliusz Wątroba – *Konkur-siki!*

Harry Duda – *O tak zwanej mowie nienawiści trochę inaczej*

Zygmunt Dekiert – *Sen jawą wyśniony*

Robert Piaskowski – *Owad zamknięty w bursztynie*

Janusz Orlikowski – *Dlaczego – nie?*

Jerzy Grupiński – *Czy śpiewać każdy może?*

Mirosław G. Majewski – *Pustelnia*

Witryna

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkiecy

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia



Z cyklu: Pejzaże Polski

Fot. Andrzej Dębkowski

Kronika

Nike dla Urszuli Koziół



Laureatką Literackiej Nagrody Nike 2024 za tom poezji „Raptularz” została **Urszula Koziół**.

93-letnia zwyciężczyni pokonała m.in.: „Wiarę. Autobiografię” Michała Witkowskiego i „Wilki” Marzanny B. Kiejar. W przeszłości Koziół była czterokrotnie nominowana do nagrody.

Jak czytamy w nocie wydawcy nagrodzonej książki, wiersze zawarte w publikacji charakteryzują się „refleksyjnym, dojrzałym humanizmem, podziwem i szacunkiem dla wszystkiego co kruche, wymagające uwagi i opieki”.

Wielka dama polskiej literatury”, jak określił ją przewodniczący jury Krzysztof Siwczyk, przysłała na świat w 1931 roku w Rakówce pod Biłgorajem. Początkowo pracowała jako nauczycielka w Bystrzycy Kłodzkiej i we Wrocławiu, by następnie związać się z dwutygodnikiem „Poglądy” i miesięcznikiem „Odra”.

Swoją poezję po raz pierwszy opublikowała w 1954 roku na łamach dodatku do „Gazety Robotniczej”. Oprócz tego Koziół jest autorką dramatów, felietonów i słuchowisk.

W przeszłości poetka była czterokrotnie nominowana do Literackiej Nagrody Nike: w 2006 roku („Supliki”), 2008 („Przelotem”), 2015 („Klangor”) i 2017 („Ucieczki”). Wyróżniona została również m.in. nagrodą PEN-u, Wrocławską Nagrodą Poetycką Silesius. Poetkę doceniano również w Niemczech, gdzie otrzymała nagrodę Eichendorffa i Nagrodę Główną Kraju Dolnej Saksonii.

Autorka jest honorową obywatelką Wrocławia oraz Biłgoraja. Otrzymała też Doktorat Honoris Causa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Fot.: <https://wroclaw.tvp.pl/82147963/nagroda-miesiecznika-odra-dla-urszuli-koziol>

Azjatycki Nobel



Han Kang – koreańska pisarka została tegoroczną laureatką Nagrody Nobla „za prozę mierzącą się z historycznymi traumami i odślanającą kruchość ludzkiego życia”. Han Kang urodziła się w 27

listopada 1970 roku w Gwangju. Od dziesiątego roku życia mieszkała w Seulu, gdzie przeprowadziła się z rodziną. Studiowała filologię koreańską na Yonsei University. Debiutowała jako poetka, publikując pięć wierszy, w tym „Zimę w Seulu”, w *Munhak-gwa-sahoe* (1993). W następnym roku rozpoczęła karierę pisarską, wygrywając konkurs literacki gazety „Seoul Shinmun” w Seulu za opowiadanie *Czerwona kotwica* (1994). Pierwszy zbiór opowiadań zatytułowany *Yeosu* opublikowała w 1995 roku. Przez trzy miesiące w 1998 roku uczestniczyła w międzynarodowym programie pisarskim University of Iowa, przy wsparciu Arts Council Korea. Jej twórczość obejmuje zbiory opowiadań *Fruits of My Woman* (2000), *Ognista salamandra*

(*Fire Salamander*, 2012); powieści: *Czarny jeleni* (*Black Deer*, 1998), *Twa zimna dłoń* (*Your Cold Hands*, 2002), *Wegetarianka* (*The Vegetarian*, 2007), *Breath Fighting* (2010) i *Lekcja greki* (*Greek Lessons*, 2011), *Nadchodzi chłopiec* (*Human Acts*) (2014), *Biała elegia* (*The White Book*, 2016), *Europa* (2019). Opublikowano także zbiór wierszy pt. *Schowałam w szufladzie o zmiernych* (2013). Zdobywczyni wielu nagród m.in. nagrody International Booker Prize for Fiction za powieść *Wegetarianka* (2007), przetłumaczoną na wiele języków.

Fot.: https://pl.wikipedia.org/wiki/Han_Kang

Konkursy

**IV KONKURS POETYCKI
„LIRYCZNY BORONÓW”**
TEMAT PRZEWODNI: „BEZDROŻA ZA LASEM”

POPREDZONY DLA CHĘTNYCH PEŁNOLETNICH OSÓB WARSZTATAMI LITERACKIMI W DNIU 26 PAŹDZIERNIKA O GODZ. 10:00 ORAZ I BLISKIMI SPOTKANIAМИ Z POEZJĄ PO ZMROKU W BORONOWIE W TYM SAMYM DNIU, O GODZ. 18:00

TERMIN SKŁADANIA PRAC DO 22 LISTOPADA SZCZEGÓŁY W REGULAMINIE KONKURSU

ORGANIZATORZY
GMINNY OŚRODEK KULTURY W BORONOWIE
ORAZ GMINNA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W BORONOWIE

Gminny Ośrodek Kultury oraz Gminna Biblioteka Publiczna w Boronowie zapraszają już po raz czwarty do udziału w konkursie poetyckim „Liryczny Boronów”. W tym roku motywem przewodnim są „Bezdroża za lasem”. Na konkurs należy przesłać jeden utwór, dotąd niepublikowany i nienagradzany na innych konkursach. Nadesłane prace będą oceniane w dwóch kategoriach: młodzież oraz dorośli. Termin nadsyłania prac mija 22 listopada br. Dla pełnoletnich poetów, chętnych do uczestniczenia, ale chcących uprzednio poprawić własny warsztat pisarski, 26 października w Boronowie odbędą się warsztaty literackie. Prace będą oceniane przez powołane przez organizatorów jury. Przewidziane są nagrody oraz prezentacja najlepszych utworów podczas II bliskich spotkań z poezją po zmroku w Boronowie, planowanych na 2025 roku. Szczegóły, regulamin oraz niezbędne oświadczenia można znaleźć pod adresem <https://gokboronow.pl/iv-konkurs-poetycki/>.

9. Konkurs Młodej Poezji

Organizatorem konkursu jest Fundacja Miasto Literatury w partnerstwie z „Czasem Literatury”. Konkurs odbywa się w ramach

projektu „Krakowskie Księgarnie na Medal” prowadzonego przez Fundację Miasto Literatury. Projekt dofinansowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Funduszu Promocji Kultury oraz współfinansowany ze środków Miasta Krakowa. W konkursie mogą brać udział poeci i poetki przed debiutem książkowym, mający ukończone 18 lat.

Na konkurs należy dostarczyć podpisane imieniem i nazwiskiem formularz zgłoszeniowy, oraz zestaw 5 wierszy o dowolnej tematyce do dnia 15 listopada 2024 r włącznie, drogą mailową, na adres: e-mail: konkurs@fundacjamiastoliteratury.pl w plikach pdf.

Wiersze zgłoszone do Konkursu nie mogą być wcześniej publikowane (dotyczy również Internetu) ani nagradzane w innych konkursach.

Wszystkie zgłoszone wiersze są oceniane anonimowo. Zestawy wierszy podpisanych nazwiskiem autora nie zostaną dopuszczone do udziału w konkursie.

Wiersze powinny być zapisane w jednym pliku oznaczonym pseudonimem. Formularz informacyjny zawierający dane osobowe powinien być zapisany w osobnym pliku pdf. W nazwie plików prosimy użyć pseudonimu z dopiskiem wiersze (np. Alan_wiersze.pdf) oraz dane (np. Alan_dane.pdf).

Nagrody: nagroda główna pieniężna w wysokości 1000zł oraz dwa wyróżnienia po 500zł. Wiersze laureatów zostaną opublikowane w „Czasie Literatury”. Redakcja „Czasu Literatury” zastrzega sobie możliwość wyboru wiersza/y z zestawu do publikacji.

Organizator oświadcza, że przekaze Kapitułę jedynie zestawy wierszy podpisane pseudonimem. Dane osobowe laureatów zostaną ujawnione w momencie ogłoszenia wyników. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych prac.

W skład Kapituły wchodzi: Tomasz Cieślak-Sokołowski, Jakub Kornhauser oraz Joanna Zach. Sekretarzynią konkursu jest Beata Czajkowska.

Ogłoszenie wyników Konkursu nastąpi 9 grudnia 2024 roku. Wyniki ogłoszone zostaną na stronach: <https://ksiegarnienamedal.eu>, www.fundacjamiastoliteratury.pl oraz Facebooku: www.facebook.com/konkursmlodejpoezji.

Kapituła może nie przyznać którejś z nagród, jak też dokonać innego podziału kwoty przeznaczonej na nagrody. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do nieudzielania informacji o szczegółach wyboru zwycięzcy i autorów wyróżnionych w konkursie.



Andrzej Walter

Pragnienia w nieba błękicie

*W duszy nieustająco
woła pytanie:*

Co przyniesie to nowe pokolenie?

Czy jedynie

zakonspirowaną nadzieję,

czy znajdzie się w niej

legitymacja miłości,

wyciągnięte ręce

objmujące bliźniego.

(...)

Warto oddać się życiu,

Jedynemu człowieczemu darowi.

Czas podpowie,

dobro uspokoi

wybraną stronę.

Nastanie dzień

a z nim światło.

Taką oto puentą kończy **Paweł Kuszczczyński** – wielkopolski poeta i wysokich lotów intelektualista swój ostatni, jakże mądry i wyjątkowy tom zatytułowany „Mądrość dobra”.

Mądrość, którą współczesny świat zdecydowanie odrzuca przeciwstawiając jej mądrość opacznie rozumianej wolności i pozornego samostanowienia. To mądrość, nawet nie tyle odrzucona, co dziś wręcz: wyśmiewana, wyszydzana i piętnowana. Z tej mądrości dziś się kpi, tej mądrości się nie rozumie, tę mądrość wraz z dobrem spycha się na margines cnót, udając jednocześnie w paroksyzmie hipokryzji, że tak nie jest. Co przyniesie? To pokolenie i pokolenia kolejne? Wygląda na to, że nawet zakonspirowanej nadziei nam nie przyniosą, gdyż nie bardzo wiedzą co to jest ta nadzieja, po doszczętnym zdefraudowaniu... wiary i miłości.

Paweł Kuszczczyński to twórca niepowtarzalny. Niczym ostatni Mohikanin jest lojalny wobec odwiecznie wyznawanych wartości – jak genialnie ujęła to oraz Jego Osobę Mirosława Prywer („Zamiast wstępu”) w wydawnym w 2015 roku zbiorze esejów Autora „Wartości zauważone”:

Autor książki występuje w roli krytyka literackiego (...) i pokazuje nam jak ważne jest ratowanie humanistycznej myśli i wrażliwości oraz tego, co w człowieku jest najpiękniejsze.

I przywołajmy przy tej okazji książkę sprzed niemal dwustu już lat autorstwa amerykańskiego pisarza Jamesa Fenimore’a Coopera opublikowaną w roku 1826 pt. „Ostatni Mohikanin”. Kto dziś jeszcze tak pisze i kto czyta tego typu książki? Książki o zdradzie, lojalności, o dobru i złu, o prostocie uczuć i wreszcie o prawdziwej miłości. Dziś wszystko uległo gigantycznej deformacji, a wynaturzeniu temu osobliwego dopełnienia nadaje fakt literatury dziś nagradzanej najwyższymi laureami i wyróżnieniami. Potęgują one obrzydze-

nie. Kształtują tak zwane mody i gusta, a tym samym dalej psują ten świat, kierując go na równię pochyłą ku prawie pewnej katastrofie. I to właśnie usiłuje powstrzymać czy ocalić Paweł Kuszczczyński – poznański literat – jak i wielu innych mu podobnych, choć niestety wydaje się, wobec ogromu współczesności, iż jest nas (podobnie myślących) ledwie garstka. Dlatego właśnie, kiedy mówię i myślę – Paweł Kuszczczyński – skojarzenia prowadzą mnie ku słynnej Nagrodzie Templetona. Nagroda Templetona (ang. Templeton Prize for Progress Toward Research or Discoveries about Spiritual Realities) – ustanowiona w 1972 roku i przyznawana duchownie za **wyjątkowy wkład w afirmację duchowego wymiaru życia poprzez spostrzeżenie, odkrycie lub prace praktyczne**. Nagroda ma postać pieniężną. Jej wartość w roku 2015 wynosiła 1,1 mln funtów. Zwykle jest przyznawana jednej osobie, choć dwukrotnie (w 1989 i 1990) laureatów była dwójka. Nagrodę przyznaje Fundacja Templetona (nazwa pochodzi od nazwiska Johna Templetona, przedsiębiorcy i filantropa); przez wiele lat wręczał ją Filip (książę Edynburga), podczas ceremonii odbywającej się w Pałacu Buckingham. Kwota nagrody została tak zdefiniowana przez głęboko religijnego fundatora, aby jej wartość finansowa zawsze przekraczała tę nagrody Nobla, która ignoruje duchowość. Wśród nagrodzonych Nagrodą Templetona znaleźli się między innymi nobliści (do 2022 roku – sześcioro): 1973: Matka Teresa z Kalkuty (nobel pokojowy 1979), 1983: Aleksandr Sołżenicyn (nobel literacki 1970), 2005: Charles Townes (nobel z fizyki 1964), 2012: Tenzin Gjaco (nobel pokojowy 1989), 2013: Desmond Tutu (nobel pokojowy 1984), 2022: Frank Wilczek (nobel z fizyki 2004). W 2008 po raz pierwszy nagrodą został uhonorowany Polak – Michał Heller.



Fot. Andrzej Walter

Paweł Kuszczczyński

Michał Heller to fizyk teoretyk, filozof, teolog, historyk tych dyscyplin oraz matematyki. Autor jakże fenomenalnych książek. Nie będę przybliżał sylwetki tego matematycznego i filozoficznego geniusza, ale tak poprowadziło mnie luźne skojarzenie, rzecz jasna z

całym uszanowaniem w różnicach i dorobku, choćby naukowym, ale muszę przyznać, że sylwetka Pawła tak właśnie się przedstawia. To nietuzinkowy człowiek, który za wszelką cenę usiłuje ocalić to, co w człowieku najlepsze i najszlachetniejsze. Nie boi się wyzwań, aktywności, trudności i niepowodzeń. Brnie dalej w swojej dobrej twórczości, dając świadectwo prawdzie, a w niej: szeroko rozumianych pojęć: wiary, nadziei i miłości, których wymiary dziś zdefraudowano i zatarto. Wystarczy przywołać żenujący spektakl, którym poczęstowano nas i cały świat na rozpoczęciu minionej niedawno Olimpiady...

Przecież pytanie Pawła Kuszczczyńskiego w tym wierszu (przypomnijmy):

W duszy nieustająco

woła pytanie:

Co przyniesie to nowe pokolenie?

Czy jedynie

zakonspirowaną nadzieję,

czy znajdzie się w niej

legitymacja miłości,

wyciągnięte ręce

objmujące bliźniego.

To pytanie niemal o Boga. Bo w nim jest podstawa nadziei. Podstawa pojęcia Wszechświata i rzeczywistości nas otaczającej. Wiara jest jakby odpowiedzią na tak wielkie pytania. Heller właśnie za to otrzymał w Pałacu Buckingham tę nagrodę, co rzecz jasna wywołało wściekłość całego ateistycznego przemysłu pogardy. Kuszczczyński pyta podobnie, ale inaczej. Dotyka tego z czym mamy do czynienia na co dzień, tu i teraz – dokąd prowadzi szlak pokoleń? Czy wiemy jeszcze czym są: dobro i zło? Dlaczego istnieje raczej coś niż nic?

Otóż prawda, piękno i dobro istnieją niezależnie i będą istnieć, i nie dadzą się wyjaśnić w żaden naukowy sposób ani zredukować do innych pojęć. Zadanie, aby je ocalić od postania na śmietnik historii, to wyzwanie dla współczesnego pisarza czy poety, wyzwanie, za które nikt go nie nagrodzi, które musi realizować wbrew całemu światu i jego dziś objawom i wreszcie zadanie niemal skazane na klęskę i niepowodzenie, jeśli spojrzeć na to, co się wokół dzieje. Zadanie, które jak sądzę, Paweł Kuszczczyński, moja skromna osoba i wielu, wielu innych nadal realizujemy na swoich ścieżkach. Musi nas pocieszyć fakt, że nie jesteśmy sami.

Jak ważne jest ratowanie humanistycznej myśli i wrażliwości oraz tego, co w człowieku jest najpiękniejsze.

Czy to jest ten... wkład w afirmację duchowego wymiaru życia poprzez spostrzeżenie, odkrycie lub prace praktyczne? Zapewne w niewielkim, minimalnym stopniu tak.

(Dokończenie na stronie 4)

Pragnienia w nieba błękitach

(Dokończenie ze strony 3)

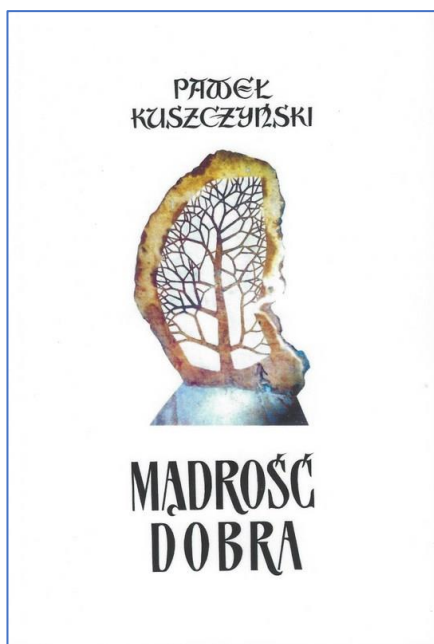
Piszemy tekst. Tekst przeczyta kilka osób. Być może się zamyśli, zastanowi, to już coś, to przynajmniej aktywność, próba, chęć... nadzieja nie zakonspirowana, ale żywa. Szkoda, że świat w swym szalonym pędzie postępu chce być (być może nieświadomie) mądrzejszy od nadziei i zamiast niej podsuwa nam kuszące wizje totalnej wolności, które najpewniej prowadzą ku totalnej... nicości.

Wiele tego typu pytań i dylematów znajdziecie w twórczości Pawła Kuschczyńskiego. Autor w czerwcu tego roku skończył 85 lat. To piękny wiek legitymizujący do pochwały „Mądrości dobra” jako utworu już esencjalnego i uprawniającego do mocnego i otwartego postawienia tych wielu jakże ważnych pytań. Skorzystajcie z możliwości lektury tomów poezji Autora i Jego esejów oraz sposobności spotkania się z Nim i konfrontacji osobistej na licznych przecież Jego spotkaniach autorskich, których Kuschczyński nie odmawia. Zatem kończąc znów oddajmy głos Poecie:

*Nasycony przestrzenią,
pogubiony czasem,
jestem tutaj by być dalej
zapisanym mieszkańcem
dni i nocy.*

*W upragnionej ciszy,
pogodzony spokojem,
przyntesiony z Bożym
spodziewanym darem.*

*Pragnieniem pozostałem
w ukochanym nieba błękitach.*

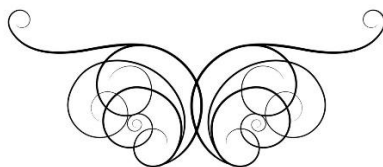


Wiersz ten dedykowany jest pamięci Pawła Kubiaka. Niech nasze pragnienia –

jakże jednorodne i tożsame przeistoczą się w *czegoś tam* wartą poezję, choćby i poezję duszy i pragnień... I pragnieniem też pozostańmy. To nas trzyma przy życiu.

Andrzej Walter

Paweł Kuschczyński, *Mądrość dobra*. Redaktor: Mirosława Prywer. Ilustracje Józef Petruk. Słowo wstępne: Wanda A. Wasik. Wydawnictwo Bonami, Poznań 2022, s. 118.



Czy śpiewać każdy może?

Tytułowe słowa piosenki wywołał felieton Marii M. Poczaj zamieszczony niedawno „Na pulsie” (na stronie internetowej poznańskiego oddziału Związku Literatów Polskich). Tytułowa samowola nie bardzo mnie martwi, bo daj Bóg, żeby nasze wiersze były samodzielne i samoistne. Oczywiście, autorka w tytule, ma na myśli teksty pisane bez poczucia odpowiedzialności, bezkrytycznie wyrzucane z serca i wątroby, że nie wspomnę o innych ludzkich organach... Bronię jednak piszących, także tych bez większych szans, próbujących sił, u początków swej twórczej ścieżki. To także czytelnicy, twórcy społecznej, czytelniczej struktury – kultury naszego Narodu. Odczuwają potrzebę pisania, przymus... Tak więc oni muszą... Brak natomiast, obligatoryjnego aktu zmuszającego nas do czytania wszystkiego...

Autorka felietonu pisze: „wiersz biały zwany wolnym”. Tu może warto uściślić... Wiersz biały zachowuje regularne akcenty, zestroje, często staranną fonikę – melodię tekstu. Jest najczęściej pozbawiony rymów. Wiersz wolny nie zachowuje fonicznego metrum, regularności wersu, strofy, rymu i... niby (na nieszczęście!) wszystko w nim wolno... Przypomnijmy tu, kunsztowne wersy wiersza białego (zwane też próbami polskiego heksametru) pióra Jana z Czarnolasu, w „Odprawie posłów greckich”, w partiach chóru oraz piękny fragment o łodzi żaglowej „O białoskrzydła morska pławaczko...”. Także z Adama Mickiewicza, z „Konrada Wallenroda” – „Skąd Litwini wracali, z nocnej wracali wycieczki...”.

Każdy może śpiewać ale nie każdy musi słuchać? Maria M. Poczaj prowokuje (żartuje?), pyta, czy ktoś zna kryteria pisania dobrych wierszy... Idąc tym niepewnym tropem, może tak? Upraszczając, ryzykując – zapytajmy: Czy wiersz mówi mi coś, czego nie wiedziałem o ludziach, o sobie, o świecie? Czy język tekstu jest indywidualny,

charakterystyczny dla tej poetyki? Czy język wiersza jest aktywny, tzn. kreatywny? I jeszcze coś powinno być w tym wierszu, żebyśmy mu uwierzyli... Ale co? I bądź tu mądry i pisz wiersze...

Jerzy Grupiński



Rys. Barbara Medajska

Krzysztof Graboń

Dłonie na głowie

ustępuję
nalewasz wina
podajesz tacę z owocami
słyszysz
żądasz opinii
oczekując zapraszasz
niczym kochanka
pieścisz duszę
usprawiedliwieniem przegapiłem
w zamian pod oknem skomentują zdrajca
ciekawe jakich tajemnic

Zdecydowane działanie

nietknięte
jak skała marmuru
odsylam
wyjaśnienie
proszą
o rozważenie

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (26)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobiecki

Zresztą po latach, jak podaje Wikipedia, niewiele wydał książek poetyckich. To raczej o nim pisano, gdy stał się znany, wręcz sławny. Znalazłem zdjęcie z „Reportażu lirycznego”, duża grupa poetów stoi przy autobusie stojącym przed hotelem „Monopol”. Rozpoznaję Zofię Badurę, Witolda Tegnerowicza, wysokiego Krzysztofa Senajkę, Zbigniewa Fronczka, Zygmunta Korusa, Janusza Leppka, małżeństwo Drasów, Marka Bieńkowskiego, „na prawym skrzydle” w kurtce – stoi Olek.

Lata mijały. W kraju zrobiło się dramatycznie, nastął stan wojenny. W sposób bezsensowny wypchnięto Rozenfelda z Polski do Izraela. Dlaczego? Całą tę epopeję wyjazdu i powrotu opisała znakomicie Hanna Krall (patrz hasło: H. Krall). A jak reporterka tej klasy bierze się za temat, to wiadomo, że musi być niebanalny. No bo gdzie znaleźć drugiego Żyda, który w Izraelu nie chce być „porządnym Żydem” pierwszego sortu, czyli znającym język hebrajski. Olek ponoć twierdził uparcie, że jest Polakiem i hebrajski go nie interesuje. A żyć może dzięki sprzątnięciu lotniska w Tel Awiwie. Czy władze Izraela mogły dopuścić do tego, żeby Żyd (a nie Palestyńczyk!) sprzątał lotnisko?! Nie pamiętam już, skąd te wieści do mnie dotarły, może to plotki, a może sam Olek opowiadał?... W końcu po kilku latach tułaczki po świecie, Europie, Rozenfeld wrócił do kraju. W drodze powrotnej (przez rok) był gościem papieża Wojtyły, wysmażył też list do gen. Jaruzelskiego. Uznano, że jest nieuleczalnie chory na Polskę. Wrócił.

Mijały kolejne lata. Zatrudniłem się w „wolnościowym” dzienniku „Kurier Poranny” w stolicy Podlasia, drugiej tego rodzaju gazecie utworzonej w Polsce. Pewnego razu słyszę wezwanie naczelnego, Janusza Stankiewicza, że pojawił się gość do mnie. Idę, patrzę: uśmiechnięty, zadowolony z siebie, szczerbaty Olek Rozenfeld. Co tu robisz, pytam. –

Pracę magisterską napisano o mnie na tutejszym uniwersytecie. Pogadaliśmy, wspominaliśmy, pojechał. Jeszcze tylko notkę o nim napisałem do „Kuriera”. Zdarzyło się to w 1990 roku. A po jakimś czasie dowiaduję się, iż Aleksander został zatrudniony przez Kancelarię Prezydencką Aleksandra Kwaśniewskiego (pracował w latach 1996-2001). Dzwonię do Warszawy. Co tam robisz? Okazało się, iż został prezydenckim doradcą (jeśli się nie mylę) ds. mniejszości narodowych. A politycznie jak się sytuujesz, dociekam, właściwie pół żartem, pół serio. – No oczywiście jestem narodowcem – odrzekł. I faktycznie ostatnie wieści, jakie znalazłem w internecie, mówią, że Rozenfeld jest związany z pravicową „Gazetą Polską”. Pogięto go...?

Przez cały okres naszej znajomości Olek to tu, to tam wypływał – zazwyczaj niespodziewanie. Dość często zmieniał nie tylko miejsce pracy, ale i zamieszkania. Nie mówiąc o żonach. To jest historia na film, jak Olek dla terapii rozwiódł się i po raz kolejny ożenił się; miał ponoć takie zalecenie lekarskie. Lecz choroba, z której się leczył, w końcu ustąpiła (albo źle ją zdiagnozowano) i raptem przyszło mu żyć z dwiema rodzinami. To wszystko jest do sprawdzenia, gdyż życiorys Olka został w miarę dokładnie opisany, teksty zaś opublikowane. Tylko fragment przytoczę, napisany po mistrzowsku przez H. Krall. „Z wysoką żoną rozszedł się na polecenie lekarzy. – Cierpi pan na SM, stwardnienie rozsiane. Żeby tę straszną chorobę zwalczyć, musi pan wytworzyć w sobie motywację do życia. A cóż może dać mężczyźnie silniejszą wolę do życia niż dzieci, nowa żona i nowy dom? Tak powiedzieli lekarze, więc Rozenfeld musiał się zastosować do ich zaleceń i znaleźć motywację. Znalazł ją w pociągu do Żywca. Miała niebieskie oczy i piętnaście lat mniej niż wysoka żona. (...) Trzy lata później, już w Izraelu, okazało się, że to w ogóle nie było SM, lecz niegroźne skutki zapalenia rdzenia, które przebył w dzieciństwie” („Res Publica” 1987 nr 3, s. 46). Gdy wrócił z rodziną z Izraela, przyjął ją ich poprzednia żona.

Ostatnia – jak dotąd – moja z nim przygoda zdarzyła się już w latach 2000., gdy byłem zatrudniony w „Gazecie Lubuskiej”. Może to wypadło na końcówkę jego pracy u prezydenta RP, czyli rok 2001? Olek wypłynął w jakimś miasteczku na Pomorzu (w Złocieniu? Złotowie?). Jakoś się do niego dodzwoniłem, pogadaliśmy, zapytałem, czy zgodziłby się na spotkanie, ale z wyraźnym celem finalnym: publikacją opowieści o nim w „Gazecie”. Zgodził się. Omówiliśmy logistykę. Biorę samochód, fotoreportera i melduję się w jego miasteczku. Po tygodniu dzwonię z potwierdzeniem. Lecz Aleksander zaczyna swoje charakterystyczne „tańce” (żeby coś ugrać, załatwić; nie cierpię tego!). Że on tego a tego dnia będzie w Gnieźnie? Kutnie? Włocławku? więc gdybym mógł jechać przez Gniezno? Włocławek? to on się dosiadzie i wspólnie dotrzemy do celu. No dobra, niech mu będzie. Jednak do spotkania nie doszło. Na wyprawę nie zgodziła się red. naczelna „Gazety” Iwona Zielińska. Nie wiem, czy zaważył na tym fakt, iż znała Olka wcześniej z Wrocławia? W każdym

razie – padło „nie” dla służbowego wyjazdu. Może miałem jechać prywatnie?

Poza wspomnianą na początku wizytą w „Nadodrze” Rozenfeld miał już wcześniej związki z Ziemią Lubuską, lecz nie znam nikogo, kto by to dokładnie pamiętał. Wiadomo, że pracował w ZSL (Zjednoczone Stronnictwo Ludowe) w Świebodzinie i ożenił się z córką działacza ludowego z tego miasta. Zielona Góra nie stanowiła więc dla niego ziemi nieznannej i moje pierwsze z nim spotkanie nie było zapewne kwestią przypadku. Potwierdziła to niedawno lektura starych roczników „Nadodrza” podarowanych mi przez prof. Hieronima Szczegółę. Po latach wertuję sobie strony i zagłębiam się w tym, co dawniej pisano. Czytam, czytam i... oto w 1967 r. znajduję wiersz bez tytułu autorstwa Aleksandra Rozenfelda-Bożeńskiego („Nadodrze” 1967 nr 11 s. 8). Drugi człon przyjęty został (chwilowo) ku czci ówczesnej lubej. Co potwierdza tezę, że z kobietami to Olek raczej miał dobre. A na okrasę życie wyjątkowo barwne i niebanalne.

Aleksander Rozenfeld, ur. 30 czerwca 1941 roku w Tambowie (ZSRR). Poeta, publicysta, działacz społeczny. Przez wiele lat mieszkał i pracował w Lublinie, potem w różnych miastach Polski, ostatnio w Złotowie. W latach 1982-1987 na emigracji w Izraelu, skąd wrócił do kraju. W latach 1996-2001 pracował jako doradca w Kancelarii Prezydenta RP.

Stefan Kamiński

Poetę **Stefana Kamińskiego** kojarzę głównie z Białymstokiem. Tam się spotykaliśmy, rozmawialiśmy, głównie u niego w mieszkaniu przy ul. Skłodowskiej, czasem w jakichś miejscach publicznych, w klubie MPiK. Raz wpadł do mnie jak burza na ul. Wołodyjowskiego. Była to druga połowa lat 80., nadchodziła powoli ich końcówka, a więc czas, kiedy mieszkaliśmy w Białymstoku po przeprowadzce z Suwałk. Zatem Kamiński = Białystok. Aż tu niedawno wyskoczyła mi niespodzianka... Z prawdziwym zdziwieniem przeczytałem jakiś czas temu, po wielu dekadach, dedykację, jaką poeta wpisał mi na swoim zbiorze wierszy „W zapisie nocy” („Iskry” 1982). Ze zdziwieniem, gdyż zapis ów powstał w Suwałkach, a na dodatek nosi datę „wiosna 83 r.”. Wynika z tego, że znałem Kamińskiego już w moim okresie suwalskim (pierwsza połowa lat 80.) i że gdzieś, ale nie wiem gdzie, w tychże Suwałkach się spotkaliśmy. Przecież dedykacja nie wzięła się z powietrza.

W tej sytuacji nie jestem pewien, gdzie i w jakich okolicznościach poznałem Stefana Kamińskiego. Gdyby nie dedykacja, upierałbym się przy Białymstoku drugiej połówki lat 80. Być może zawarliśmy znajomość przy okazji Oleckich Czerwców Poetyckich, w których uczestniczyłem i w których niekiedy brał udział Kamiński?

cdn.

Jan Tulik

czerwcowy wieczór na krawcówce

najpierw słycać sowy kwilą
gdy zapada zmierzch zwolna rozpinają
swe loty od drzewa do drzewa
pomiędzy nietoperzami przecinkami
zmierzchu

z gąszczy dzikiego bzu wypryskują
fosforyzujące punkciki
pulsujące jak nocny samolot
robaczki świętojańskie pierwsze tego lata

jeż im nie zawadza niucha furczy
słowiki nieustannie harują do bólu gardeł

do krwi
ot czerwcowy wieczór na krawcówce

moja jesień

butelka gdańskiej wódki
szyjką w dół odwrócona
brzoza w zardzewiałej trawie

wirują w niej
płatki złota
pląsają cekiny z welonów ostatniego lata

brzoza wsparta o błękity
pokryta białą czarnymi płatkami
płyną te krypy na falach kory

wróźba albo sen pomrukują
że melancholia powiesi mnie na powrózkach
skręcanych z babiego lata

albo popłynę w wieczny mróz

moja jesień

zmierzch

nietoperze przepoczwarzają się
w kontury ruchomych trójkątów
noc
twarze poznikały jedynie czoła ocieplają czerń
chyba rozumiem demokryta z abdera
który wyłupał sobie oczy by móc się skupić
na dowodach ważnych
myśleć bez szmeru zbędnych obrazów

ciemności służą nawet zamierzchłe obrazy
wspomnienia
jak obraz z lustrem spoglądałem w śliską taflę
i tam mnie nie było nie było nikogo
jedynie krwawy dym rozgryzał powieki
by dostrzec obraz topielcem
co jakiś czas wyływał się z głębin
i wysuwał wargi
obok pyska leszcza by zażyć bańkę powietrza
pokarm na pół nocy do pierwszej zorzy

namiot z gruzów

winna budka ślimaka
ojciec pośliznął się na niej i trafił
wprost na odłamek bomby
który wykrwawił go do białości

na mamę opadł namiot gruzów
wyrwał z niej ostatni oddech

jeśli to wszystko zostanie wypchnięte
w nadchodzącą historię
gdy ucichną syreny samoloty lamenty
dzieci z chusteczkami przy nozdrzach
by nie wdychać trupiego odoru
będą ścigać wroga strzelać z biodra
do końca życia bawić się
w wojnę

a miało być niebo
cztery strony błękitu
na zielonych
fundamentach

wszystkiemu winna budka ślimaka
namiot gruzów

piotr i leszek

w niebie przy aniołach z prawicy
siedzą ukryci z pokorą na obliczach
jak za życia
piotr kuncewicz i jego młodszy brat
leszek żuliński

jednak wracają do nas
ostatnio odwiedzili mnie
z piątku na sobotę
zawsze po ciemku
zawsze w aureolach i gloriach
złocistych jak z monstrancji

z kroplami rubinów na czołach
jakby wracali z rozstrzelania

wybudowali dla mnie schron

wybudowali dla mnie schron
jeszcze w dziewiętnastym wieku
przypadkowi ludzie

nabyłem go od ich prawników
którzy zamieszkali w bloku
dobrze im było wszystko mieli
na miejscu

mój schron przed słońcem deszczem
śnieżnymi wichurami
przed zgrzytem i gwarem ulic
przed głupimi uwagami
głupimi bo nie potrafią ich wyjaśnić

w tym schronie nie ma telewizji ani radia
jest cała filharmonia i cztery książki
jest mały księżę psalmy antologia wierszy
świata

apokryfy starego testamentu

Wacław Buryła

boję się pocałunku

Wielki Post znów przed nami jak wielki
magazyn
pełen niespodzianek i baśniowych czarów
Bóg drzwi otwiera i wszystkich zaprasza
by ożywiać serce i by wskrzeszać duszę

Ogród Oliwny ciągle nie jest baśniowym
ogrodem
milczenie drzew oliwnych wciąż jest pełne
grozy
w tych złowieszczych ciemnościach nadal
mieszka Judasz
szukający namiętnie kolejnych srebrników

boję się pocałunku w nim może być zdrada
choć od zawsze mieszkała w nim miłość
tak trudno uwierzyć że można sprzedawać
wszystko i wszystkich za garść nędznych
złudeń

chciałbym czuwać z Tobą lecz lękam się siebie
czy po raz kolejny patrząc w kryształ lustra
nie zobaczę w nim tchórza schowanego
w tłumie
który milczy uparcie by ratować spokój



Rys. Barbara Medajska

bracia poeci

lubię chować się przed światem w środku
nocy
czytam wtedy wiersze znanych i nieznanymi
poetów
wydaje mi się że czytam ich testament
który świat przeoczył
zbyt ważny aby zgodzić się na jego utratę

w tych wierszach odnajduję ich dawny
niepokój

smutek który nieśli ukryty głęboko
 młodzieńcze marzenia aby świat
 przemieniać
 i miłość którą z rozmysłem wciąż
 wszczepiali w słowa
 czują ich bliskość słyszą ich oddechy
 też szukają miejsca by położyć głowę
 na słodko pachnącym nareczu metafor
 i śnić zwyczajnie o rajskich ogrodach

bracia poeci wstąpcie na herbatę
 zagrzejcie się trochę nim ruszycie w drogę

stygmaty poezji

poezję noszę w sobie od początku świata
 niby stygmaty napełnione bólem
 słodsze od miodu wyjętego z ula

słowa przychodzą pod osłoną nocy
 niby poziomki schowane pod liściem
 lub krople rosy malowane światłem

wciąż rodzą się we mnie jakieś nowe światy
 wyjęte z marzeń i dziecięcych przeczuc
 z naiwnej wiary że ludzie są dobrzy

lecz wciąż pytam Ciebie – pierwszego Poetę
 jak można zrozumieć decyzję Judasza
 i jak wytłumaczyć bezsilność Golgoty

Prawda

każde drzewo może stać się krzyżem
 każda góra może być Golgotą

pamiętaj o tym kiedy zdecydujesz się
 stanąć w obronie Prawdy

Prawda nie może być kaprysem
 ona zawsze musi być wyborem

bo może kosztować dużo
 nawet życie

znów stań się Słowem

Jan Apostoł i Ewangelista
 najbardziej umiłowany uczeń Jezusa
 napisał na początku swojej Ewangelii
*A Słowo stało się Ciałem
 i zamieszkało wśród nas*¹
 rozglądam się uważnie po moim życiu
 jakbym szukał tego ucieleśnionego Słowa
 bez którego wszystko staje się dziełem
 przypadku

i prowadzi w nicność
 jeszcze ciągle odnajduję w sobie ten chaos
 który był przed stworzeniem świata
 a przecież moje serce tęskni za pokojem
 tego pokoju zazdroszczę św. Janowi
 i chętnie postawiłbym mu pytanie
 czy dlatego był najbardziej umiłowany
 że Jezus miłował go bardziej niż pozostałych
 czy dlatego że sam bardziej miłował
 u schyłku drogi już wiem

że to jest najważniejsze ze wszystkich pytań
 dziś kiedy ludzie żyją w nieustannym biegu
 jakby się bali że mogą nie zdążyć
 z czymś co jest ważne a może konieczne
 nikt nie ma czasu na stawianie pytań
 i nikt nie chce szukać trudnych odpowiedzi
 dlatego pustka przelewa się co dzień
 chrząści pod butem nie pozwala zasnąć

znów stań się Słowem chciej się ucieleśnić
 by nasze słowa zaczęły coś znaczyć
 by nasze chleby znów pachniały domem
 byśmy rozumieli że trzeba miłować
 żeby dnie i noce nie straciły sensu

¹ J. 1, 14a

nie ma już chętnych

w epoce samolotów i rakiet oraz lotów
 w Kosmos
 nie ma już chętnych do bycia lkarem
 zresztą gdzie można dolecieć na woskowych
 skrzydłach
 don Kichot był szaleńcem – wierzył
 w niemożliwe
 w dobre kalkulacji dokładnych obliczeń
 nikt nie ma ochoty na samotną walkę
 nawet gdy marzenia ktoś kładzie na szali

ze wszystkich stron świata zjeżdżają
 pielgrzymi
 żeby na kamieniach odnajdywać ślady
 Tego Który świadomie zapragnął być
 Chlebem

lecz nikt już nie marzy aby być Mesjaszem
 wszystkim wystarcza zdjęcie na Golgocie

Eliza Segiet

Biurko

Profesorowi Józefowi Lipcowi

Nikt inny nie może za nikogo myśleć –

powiedział kiedyś profesor do studentki.

Miał rację.
 Przecież tych rozpoczętych myśli
 nie da się już
 doprowadzić do celu.

Przez zasłonięte kotary
 nie dochodzą już promienie życia.
 Tylko
 porozrzucane na biurku kartki
 wyglądają jakby czekały
 na człowieka –
 tego jedynego.
 Tego,
 który już nigdy

przy nim nie usiądzie.

Kolejność

Normy? Zasady?
 Często nieprzewidywalność!
 Po prostu,
 nie istnieje instrukcja obsługi człowieka.

Nawet dorosłe dziecko
 nie zawsze wie
 jak się zachować,
 kiedy nadchodzi nieuniknione!

Zadzwoń?
 Czekać?
 Nie czekać?

Nie milkną połamane myśli,
 Nie cichnie chęć bycia dzieckiem!

Ciężka do zaakceptowania
 kolejność...

Już nie dziecko
 – tylko sierota
 może karmić siebie i innych wspomnieniami,
 o tym,
 że tamten czas stał się przeszłością.

Budzenie pamięci

Kto przeprowadzi
 przez śmierć najbliższych
 kiedy zostaniemy sami?

Kto pomoże wstać?

Trzeba udźwignąć
 nową rzeczywistość
 – życie bez...

My – osamotnieni,
 podnosimy się, walczymy.
 Choć skamieniali,
 udowodniamy,
 że wszystko trwa nadal.

Nie zapominajmy,
 martwi milczą
 – budzenie pamięci
 jest po stronie żywych.

Akwedukt

Akwedukt pomiędzy Być i Nie Być
 nie ma wytyczonej długości.
 To co zostawimy na końcu
 zależy od nas,
 ale może
 należeć do świata.

Po zejściu z akweduktu życia
 – warto nadal żyć.



Juliusz Wątroba

Konkur-siki!

1.

Do napisania tego tekstu upoważnia mnie teoria i praktyka, wnikliwa obserwacja od środka i z zewnątrz, zaangażowanie emocjonalne, a jednocześnie zimne i wyrachowane spojrzenie na to ekscytujące i frapujące zjawisko z pogranicza groteski (współcześnie) i literatury (niegdyś), które zapewne zainteresować by mogło także psychologów, a nawet psychiatrów! Sprzyjającą okolicznością dla głędziołka pospolitego, w którego właśnie się wcielam, jest czas, na który zwykle psio-czymy, że tak szybko upływa, ale czasem wyostrza spojrzenie i pozwala dostrzec to, co wcześniej umykało uwadze.

Rzecz będzie o konkursach. Literackich, ze szczególnym uwzględnieniem tych poezji(?) pełnych. Konkursy te mają w kraju długą tradycję. Zmieniały się ich regulaminy, wysokości nagród (od mamony po świstek dyplomu), prestiż i znaczenie. Ostało się jeszcze, na szczęście, kilka znaczących konkursów, promujących prawdziwych twórców.

Bo zwycięstwo w konkursie poezji, to pierwszy i bezpieczny krok do literackiego (pół)światka. Wszak nic prostszego, jak tylko napisać, przepisać, wysłać, i... czekać, aż przyfrunie wspaniała wiadomość, że jest się laureatem! Bo konkursy literackie kuszą. Już wprawdzie nie nagrodami, za które można wystawić wilę (jako drzewiej, w przedwojennej Polsce bywało), ale samym faktem bycia laureatem, czyli kimś lepszym, ważniejszym, docenianym, a czasem nawet podziwianym i... wzbudzającym zazdrość mniej utalentowanej konkurencji.

2.

Ach, jakie to przyjemne i wspaniałe! Dość informacji, że właśnie zostało się laureatem konkursu poezji! To jakby taki mały, malusieńko-tyciuteński Nobelek, Noblątko, Noblusio, które trzeba tulić, że właśnie jest to szczęście wyteśknione, oczekiwane, o którym tyle się myśli, a nawet śni! Gdy już nie ma, prócz erotycznych, atrakcyjniejszych tematów na sny. Ekscytacja! Uniesienie z elementami egoizmu, pychy i narcyzmu, że oto jest się laureatem, który fruwa nad tym światem, na skrzydłach pegazich, z którymi od twarży... Więc może na to konto winka lub wódeczki? Jeszcze tylko raz sprawdzić, czy to pewna informacja, czy prawdziwa, gdy tyle nieprawdy spływa w każdej chwili, chwileńce, ale to epokowa chwila na szczęście, gdy się poetka albo poeta dowiaduje, że jest!, naprawdę jest! Zauważonym! Docenionym!! Nagrodzonym!!! Czasem przez samego pana prezydenta, częściej przez pomniejszych urzędników, ale przecież zawsze to nobilitacja i odlot w piękniejsze rejony...

Ach, jakie piękne jest życie, co czasem nie do życia, w takiej chwili... Później w mediach społecznościowych zamieścić fotkę wniebowziętego autora, albo samiuśkiego dyplomu, albo razem z rozanielonym artystą, który właśnie chwycił samego Pana Boga za nogi i jest szczęśliwy jako dziecko, które dostało upragnioną zabawkę, albo staruszek, któremu podnieśli właśnie rentę, czy polityk, co to w końcu dochrapał się stanowiska... By zwiokrotnić szczęście i przyjmować zasłużone gratulacje, czy jeszcze wymowniejsze milczenie, trzeba by wieść o tym niebotycznym sukcesie dotarła jak najszerzej i jak najdalej... I nie ważne, że w konkursie brało udział pięciu uczestników, a wręczono, bardziej lub mniej uroczysto, a często nawet zaocznie, sześć nagród!

3.

Byłem nagradzany w rozlicznych literackich zawodach, poczynając od Tatr (w ramach Tatrzańskiej Jesieni konkursu na wiersz o tematyce górskiej), a kończąc nad morzem, skąd wracałam z nagrodą Prezydenta Gdyni „Grudą Bursztynu”, o którą kruszyliśmy satyryczne kopie, walcząc o laury oraz z... kacem. Przejechałam, wodzony za nos telegramami informującymi o sukcesach, Polskę wzdłuż – od gór do morza; wszecz – od Bugu po Odrę przez Łódź, Poznań, Konin, Katowice, a nawet w poprzek – od siedleckiego Sympozjonu Satyry po Turniej Łgarzy w Bogatyni.

Prócz przyjemności wynikającej z otrzymywania nagród, jeszcze większą, choć niewymierną wartością były spotkania z organizatorami i z rozpromienionymi, a czasem jeszcze przed uroczystym podsumowaniem skacowanymi, pozostaliśmy laureatami, a nade wszystko z jurorami, którymi najczęściej były wybitne osobowości, znani literaci, z którymi spotkania i rozmowy były prawdziwą ucztą intelektualną.

Jednak, gdy po raz setny, zostałam laureatem, to zapaliło się w moim rozpalonym łebku, już nie żółte ostrzegawcze, a czerwone światełko: kategoryczny zakaz konkursowania! Bo to już nie wypada, nie uchodzi, nie przystoi, bo to i moralnie wątpliwe, i już w żaden sposób nie przyczynia się do mojego twórczego rozwoju – zakładając optymistycznie, że przed laty, gdy zaniechałam tego procederu, jeszcze się rozwijałam! Oczywiście, nie mam też żadnej pewności, czy wiersze napisane później byłyby także zauważane.

Może ktoś słusznie zapytać, po co się tak uzewnętrzniam, czy po to, by się chwalić i reklamować, bo przecież żyjemy w czasie i w epoce chwali się (jakby się niegdyś pogardliwie powiedziało), i w dobrym tonie, wręcz obowiązkowa jest autokreacja i zachwywanie

swoimi urojonymi i prawdziwymi sukcesami, z nachalnym lansowaniem się zaradnych „twórców” wszelakiej maści w czasie, gdy wszyscy to robią, bo taki stał się ten świat. To też dramat współczesności: zachwalanie tandety, wynoszenie się karykaturek na piedestał, aby rozwiewać mroki sentymentalnymi wspomnieniami o niby sukcesach, które mają uwznioślić upływający czas. Bo już nikt cię nie znajdzie, jak niegdyś w przysłowiu, gdy będziesz stał w kącie, bo kątów już chyba też nie ma, gdy otacza nas cyrk, w którym przyszło nam żyć, z okrągłą areną, gdzie wszyscy pokazują nawet to, co winni wstydliwie ukrywać! Nic z tych rzeczy, piszę o tym dlatego, by uwiarygodnić ten tekścik, byście państwo, którzy w swojej łaskawości, czytacie te nieprzemysłane przemyślenia, uwierzyli mi na Słowo, to dosłowne i metaforyczne, że wiem, o czym piszę...

4.

Są tacy nawiedzeni twórcy, którzy wpadli w nałóg konkursowania, a nałogi, czyli uzależnienia, jak powszechnie wiadomo, są ciężkimi do wyleczenia chorobami, z których wychodzi zaledwie kilka procent nieszczęśników, co im ulegli, gnani niepohamowaną chęcią mnożenia nagród we wszelakich konkursach i konkursikach, co stało się receptą na życie, spełnieniem i satysfakcją, i dążeniem, dążeniem do kolejnych laurów i zaszczytów. Znam poetkę, dobiegającą sześćdziesiątki, już z lekką zadyszka, co ma jeszcze jeden, też wyniszczający nałóg (palenie!), która zapowiadała się na znakomitą następczynię naszej Wisławy, już jako kilkunastoletnie dziewczę, gdy zdobyła pierwszą nagrodę w sołeckim konkursie na wiersz o Kole Gospodyń Wiejskich. Zapowiadała się, gdy już jako dojrzała kobieta wygrywała ogólnopolskie konkursy, i dalej się zapowiada (choć nie jest spikerką, bo to już wymarły zawód) na świetną poetkę. Jest aktualnie żoną, matką (o kochankach nic nie wiem), a nawet babcią, a zachowuje się tak, jak tamta dziewczynka sprzed dziesięcioleci, „konkursując” namiętnie, emocjonalnie i chorobliwie, kolekcjonując konkursowe laury, a poza regulaminami konkursów nie dostrzega już niczego i... nikogo, oprócz... wrednych konkurentów, którzy mają czelność i chcą ją ubiec w wyścigu szczurów po kolejne laury. Do tej pory nie wydała ani jednego tomiku, ale za to jest laureatką bodaj trzystu konkursów! I tak ją te konkursy omotały, jak nieszczęsną muchę sieć pajęczą, w której sama się zadreczę i już nie jest w stanie z tych omotań się wymotać.

Dzień rozpoczyna od poszukiwania regulaminów najbliższych konkursów. Analizuje je wnikliwie pod kątem tematyki, składu ju-

rorskiego, by nie przeoczyć niczego, co mogłoby stać na przeszkodzie w zdobyciu kolejnego lauru. Jest na tyle inteligentna, że zna nawet gusty oceniających, pod które doбира utwory, które często są kompilacją już wcześniej napisanych. Podobnie nagina tematycznie swe arcydzieła, bo czasem wystarczy zmienić kilka słów w utworze, by pasował „jak ulał” tematycznie!

5.

Żądni sławy i chwały konkursowicze, zaślepieni i omotani wizją kolejnych nagród i zaszczytów, z premedytacją i perfidnie często obsyłają tymi samymi wierszami wszelkie możliwe konkursy, choć w regulaminach większości jest napisane wyraźnie, że oceniane będą tylko „wiersze nigdzie niepublikowane i nienagradzane w innych konkursach”. Skąd o tym wiem? Bo sam kilkakrotnie zdyskwalifikowałem cwanych uczestników tych wyścigów, czytając te same wiersze, którymi uszczęśliwiają rozliczne konkursy. Tak się bowiem stało, że od trzech dziesięcioleci jestem zapraszany do jurorowania przez organizatorów konkursów – pewnie nieświadomych tego, co czynią. A posiedzenia sądów konkursowych to oddzielny, barwny temat, bo często są bardzo emocjonalne i ciekawsze niż imprezy finałowe. Optymistyczne zaś jest to, że tylko raz spotkałem się z próbą bezczelnych organizatorów, próbujących wywierać nacisk na (obiektywnych w swojej subiektywności) jurorów, by nagrodzić lokalne beztalencie!

Jeżeli już o patologicznych sytuacjach wspominać, to dotyczą one także (o zgrozo!) tych, którzy winni strzec czystości i uczciwości tej bezkrwawej bitwy na słowa. Spotkałem niegdyś dwóch jurorów, różnych konkursów, niezłych poetów, którzy (nie mieściło mi się to wcześniej w głowie!) nagradzali SWOJE WŁASNE wiersze, wysyłane na podstawione osoby!!!

Znów może paść pytanie: skąd o tym wiem i jak mogę kogoś o coś tak paskudnego posądzać? Odpowiedź prosta; zdradzili się sami uczestnicy tego przestępstwa, publikując po kilku latach, już pod swoimi nazwiskami, w swoich nowych tomikach, tamte nagrodzone przez siebie swoje wiersze! Nie do wiary, a jednak wierzyć trzeba, bo to jednak prawdziwe!

6.

By jednak wyrwać się z patologicznych zachowań niektórych uzdolnionych uczestników, a nawet jurorów, zatrzymać się wypada nad większością namiętnie konkursujących, wysyłający całymi latami mizerne plony zasiewów z jałowej gleby, którzy mimo starań, uporu, pracowitości, zaklęć i modłów, nigdy nie zostali nagrodzeni w żadnym konkursie. Takich mi żal, autentycznie, boć są przeciw wrażliwymi istotami, a że rozumiem nie ten, to przecież nie ich wina, a niesprawiedliwej i niedemokratycznej, okrutnej i wyrodnej Matki Natury, która mniejszość obdarzyła talentem, a znakomitą większość zignorowała, wtrącając w piekło przeciętności. Choć nic za darmo, bo nieliczni wybrańcy za swoją oryginalność muszą płacić wysoką, czasem nawet naj-

wyższą cenę. Bo radości i spełnienia przeżywają stokrotnie, a cierpienia, z których często rodzi się prawdziwa sztuka, tysiąckroć intensywniej...



Rys. Sławomir Łuczyński

Pochylę się jednak nad tą przewrażliwioną większością, która rekompensuje losowe niedostatki hałaśliwością, rozpychaniem się łokciami, Często bardzo operatywna, o zdolnościach i talentach... organizacyjnych, stadnym wydawaniem koszmarnych tomików zaczynających się od notek bio, politowania godnych, organizowaniem spotkań we własnym gronie, z ogłaszaniem wewnętrznych konkursików, by jednak, choć raz w życiu, symboliczny wieniec laurowy ozdobił im wyłysiałe, czy już siwe głowy. To z myślą o nich piszę ten wiersz – receptę na konkursowy sukces:

PRZEPIS

Na konkursy poezji wysyłaj wiersze łatwe lekkie i przyjemne – jurorzy nie lubią smętnych wynurzeń o zalanym robaczką twojego sumienia czy o miłości która wystrychnęła cię znowu na SMUTKA

Musisz więc zrobić lekkostrawny przekładaniec

błyskotliwy jak kolia z tombaku na obfitym biuście pani Zosi w którym ironia i seks (np. jurny piec napalił się na zimną izbę) będzie przeplatana twoją niewątpliwą znajomością malarstwa różnych epok (np. Van Gogh nadstawił puste miejsce po uchu i usłyszał żółcień słoneczników) muzyki najlepiej klasycznej (np. Słuchając Vivaldiego wiem na pewno i że rok składa się co najmniej z ośmiu pór) oraz koniecznie kultury antycznej (np. macią Zeusa była głowa stąd Pallas Atena taka mądra choć baba)

A jeśli to wszystko połączysz klamerkami plastikowych metaforycznie (np. ciemność ssie mleko światła z nabrzmiałych żarówek) to będziesz miał wreszcie szansę na szansę zostać laureatem! Już gratuluję!!!

J.W.

Zaznaczam, że to mój oryginalny wiersz i proszę nie próbować go wysłać jako swój na kolejne konkursy, bo plagiaty też się zdarzają!

7.

Czyż więc konkursy poezji to wylęgarnie geniuszy, czy samo zło wcielone, trwonienie czasu i środków, które można by przeznaczyć na coś wartościowszego? Nic z tych rzeczy – wręcz przeciwnie. Szczególnie w tych czasach, gdy w szczątkowych ilościach ukazują się profesjonalne czasopisma, gdy nie ma obiektywnej krytyki, gdy z jednej skrajności wpadliśmy w drugą; publikowaniem wszystkiego, co się tylko chce, bo takie są możliwości techniczne; nawet grafomańskich wypocin lejących się ze wszystkich stron, serwowanych przez megalomańskich „poetów”, którzy powinni robić prawie wszystko, oprócz pisania wierszydeł i zaśmiecania umysłów tym wrażliwym istotom, które jeszcze chcą czytać poezję. Poezję autentyczną, czyli pisaną przez ludzi do tego powołanych, z talentem! Cóż – na naiwności, także tej wynikającej z przemożnej chęci zaistnienia, korzystają też różnego rodzaju „wydawnictwa” drukujące dla mamony „co popadnie, nawet ładnie”, jako ten grafomański rym-cym-cym!

Jednak by młody, wrażliwy, poszukujący miejsca w życiu człowiek, mógł się przekonać, czy jego próby pisarskie mają sens i są coś warte, konkursy poezji są jak najbardziej potrzebne, mobilizujące i inspirujące. Bo jeśli zostaje się zauważanym po wielokroć w tym „literackim przedszkolu”, to sygnał dla piszącego, że jednak warto dzielić się sobą, oryginalnością, kreatywnością, by wzbogacać ten świat o nowe odcienie, których tak brakuje w zabieganej szarzyźnie współczesności. Tym bardziej, że oceniają nadesłane utwory zwykle ludzie czujący poezję, często o różnych osobowościach, gustach literackich, ale dochodzących do dziwnej zgodności, podejmując odpowiedzialnie, i z najlepszymi intencjami, werdykty. Ale, na Boga, do końca życia nie można biegać i fikać w krótkich majteczkach przedszkolaka!

Zaś ci, którzy mimo wielokrotnych prób, nie zaistnieli w żadnym konkursie, powinni się zastanowić nad swoimi wrodzonymi predyspozycjami, by dojść do słusznego wniosku, że może są powołani do czegoś innego, niż „uszczęśliwiania” świata na siłę swoimi, nic nie wartymi tekstami? Choć przecież pisać każdy może, ale czy powinien?

Sumując: konkursy Tak! Tak!! TAK!!! Ale dla młodych, poszukujących, potrzebujących potwierdzenia swojego powołania. Dla młodych, których nagrody konkursowe uskrzydłają, inspirują, wzbogacają, rozwijają – są po-

(Dokończenie na stronie 10)

Konkur-siki!

(Dokończenie ze strony 9)

trzebne... Dla młodych! I nie idzie tu o wiek metrykalny, bo pisanie, to taka dziedzina, gdzie młodym może być i stulecie, byle z talentem! A że w sędziwym wieku można pisać genialne wiersze dał przykład choćby Jarosław Iwaszkiewicz, który u schyłku życia wznosił się na szczyty lirycznych dokonań „Mapą pogody”!

8.

Ale po co się czepiam, jak rzep psiego ogona, albo kleszcz skóry, tych konkursów i konkursików, a co gorsza ich uczestników! Jeśli komuś potrzebne to konkursowanie, jak rybie woda czy nimfomance seks, to niechaj sobie wysyła do końca świata wiersze dla nagród. Dla poprawy samopoczucia, podnoszenia własnej wartości, spełniania się w tak niegroźny sposób, choć jednak blokujący miejsca tym, dla których konkursy winne być skierowane.

A może to namiastka życia literackiego, takie radosne disco polo na rymy, albo brak rymów, by było nowocześnie. Taki niegroźny bzik, konik na biegunach dla dorosłych dzieciaków, które przez całe życie noszą śliniaczki tkane marzeniami i ssą mleczko natchnień z brzemiennych chmur, podglądane przez ciekawski księżyc, zza którego mrugają zalotnie gwiazdki pomyślności? Jedno wszak pewne: z prawdziwa literaturą nie ma nic, ale to absolutnie nic wspólnego...

Co by jednak złego o konkursach poezji nie powiedzieć, to jest jedna rzecz nie do przecenienia: spotkania z podobnymi nienormalnym odmienkami. Na żywo, twarzą w twarz, uśmiech w uśmiech, słowo w słowo, zachwyty w zachwyty, a czasem nawet zazdrość w zazdrość! Nie ekran w ekran, na odległość i zacocznie, ale realna i namacalna wymiana spojrzeń, myśli, słów, gestów, a czasem nawet... tomików, w których na papierze (wy)czepnym (co to wszystko wytrzyma) przycupnęły marzenia i urojenia – czy to o nieszczęśliwej miłości, czy o szczęśliwej nienawiści, a już na pewno o trwałym miejscu na Parnasie! A że czasem, a nawet często, są to spotkania grupki wzajemnych adoracji, geriatrycznych zjazdów ludzi, którzy upływający bezlitośnie czas wypełnić chcą złudnym (bo nieprawdziwym) wyobrażeniem o własnej, urojonej wielkości?

Zakończmy te dywagacje z przymrużeniem oka (?), już poważnie, podpierając się niekwestionowanym autorytetem mądrości Księgi Koheleta ze Starego Testamentu, w której napisano:

*Wszystko ma swój czas...
...Jest czas rodzenia i czas umierania
czas płaczu i czas śmiechu,
czas szukania i czas tracenia,
czas milczenia i czas mówienia...*

Uaktualnijmy i uzupełniając ową Księgę, na potrzeby tej chwili, już nie natchnionymi

wersami:

*Jest czas wysyłania wierszy na konkursy
i kategoriyczny zakaz tego czynienia,
bacz więc byś wiedział, gdy ten czas nastanie...*

Juliusz Wątroba



Harry Duda

O tak zwanej mowie nienawiści trochę inaczej

Precyzyjnej i „wiążącej” definicji tzw. mowy nienawiści nie ma i zapewne nigdy nie będzie. To wprowadzone do obiegu publicznego pojęcie jest nader mgliste – prawdopodobnie nie da się nazwać i wskazać desygnałów jego semantycznego pola. Dlaczego?

Dlatego, że właściwie niemożliwe jest zdefiniowanie samej „nienawiści” (podobnie jak miłości, złości, niechęci, radości i tym podobnych stanów psychicznych) – z uwagi na ściśle indywidualne: jej cechy, w tym stopień natężenia, czas trwania, źródła (np. rzeczywiste lub urojone), inaczej mówiąc: niejednoznaczność jej objawów, a co za tym idzie – trudność „kwalifikacji do” (co bywa niekiedy trudne nawet dla nosiciela tego stanu).



Rys. Sławomir Łuczyński

Nienawiść jest jednym z uczuć (stanów psychicznych), któremu zwykle (bo z wyjątkami – np. „lodowata nienawiść”) towarzyszy emocja (stan relatywnie chwilowy) jako

składnik popędu agresji, w przypadku człowieka i zwierząt zwanej „agresją wewnątrzgatunkową”. U zwierząt agresję tę „regulują” (w tym bardzo osłabiają i nadają jej formy zbliżone do rytualnych) dyrektywy zapisane w genach i ewentualnych „wycuczanych regulacjach” stadnych (u zwierząt stadnych). U człowieka czynią to – najogólniej biorąc – **kultura**, w tym moralność (i przemożnie religia jako jej źródło), obyczaj i **prawo**. Regulacje te jednak mogą być przez człowieka – zależnie od cech osobowych, wychowania i okoliczności – respektowane lub nie, i to niezależnie od kręgu kulturowego, w którym dany człowiek jest osadzony lub z którego wyszedł.

W odróżnieniu od emocji, które mogą być i są (mniej lub bardziej) chwilowe, czyli przejściowe, uczucia z natury rzeczy trwają o wiele dłużej, choć i one mogą być relatywnie krótkotrwałe. Niekiedy jednak trwają długo, nawet do śmierci danej osoby – „nosi ciela” tego stanu.

Język jako podstawowe spoiwo międzyludzkie stara się wyrażać możliwie wszystko to, co istnieje w danym człowieku i poza nim. Wyraża więc m. in. uczucia i emocje. Zrozumiałe, że negatywne uczucie zwane nienawiścią (czy w złej formie – niechęć, nieprzyjaźń i inne odmiany tych stanów) wyzwała też negatywną emocję, a jedno i drugie znajduje swój wyraz w języku, niekiedy w językowej agresji.

Czy jest jednak oczywiste samo przez się, jakie są cechy tej językowej agresji? Czym i w czym się ona wyraża? Nawet w warstwie ekspresji dźwiękowej zestaw możliwości jest przecież spory: może to być ton głosu, jego wysokość i natężenie, akcentuacja, intonacja, a także np. „nienawistny” szep, syczenie, cedzenie, celowa chryпка i wiele innych modulacji dźwiękowych (którym towarzyszą gesty i – ogólnie – mowa ciała).

Natomiast w warstwie znaczeniowej, semantycznej, zestaw możliwości języka i osoby mówiącej, aby wyrazić nienawiść (lub nieco zbliżone do niej stany jak np. złośliwość) jest praktycznie nieograniczony. Tym bardziej, gdy do wyrażania tego stanu psychicznego i agresji włączymy jeszcze modulacje dźwiękowe.

Zaznaczyć trzeba, że nie każda agresja słowna (w formie wzmożonej ekspresji, jak wskazana wyżej, kontrolowanej przez mówiącego lub nie) jest wyrazem nienawiści. Agresja słowna to zjawisko bardzo częste, rozmaicie uwarunkowane i – jak twierdzą – **stosunkowo rzadko bliskie mowie nienawiści**. Łagodniejsze jej formy znajdziemy niemal w każdej dyspacji, w emocjonalnie przekazywanych racjach, przy chęci przekonania rozmówcy lub audytorium, w czasie przekazywania poleceń lub rozkazów, napomnień i upomnień (reprimendach) itd.

Na pierwszy plan przy rozważaniu tego problemu zwykle wysuwa się tzw. język **wulgarny**, stosowanie wulgaryzmów, potocznie mówiąc – przeklinanie. A to zjawisko stare jak świat, wskazywane (i negatywnie traktowane od strony moralnej) już w Biblii (Stary i Nowy Testament).

Jakkolwiek wulgaryzmy niemal zawsze (choć z wyjątkami) są formą językowej agresji, raczej rzadko można je zaliczać do „mowy nienawiści”. Po pierwsze bowiem mogą być one całkowicie odpersonalizowane i nieadresowane do nikogo – jako tak zwane przeze mnie „przerywniki emocjonalne”, całkowicie oderwane od swoich znaczeń (z arsenału wulgaryzmów powszechnie znanych i stosowanych) lub jako budowane „na gorąco” i swoiście odkrywcze konstrukcje słowne służące li tylko wyrażeniu emocji, „stanu ducha”, złego lub dobrego nastroju.

Po drugie wulgaryzm w swej funkcji może być kwestią li tylko pewnej konwencji, umowy. Przypominam sobie przykład (niestety nie pamiętam, skąd go moja pamięć wzięła), kiedy to pani we wczesnej klasowo podstawówce upominała dzieci, aby się nie przezywały słowem małpa: „ty małpo”. Dzieciaki się podporządkowały. Aż w pewnym momencie jedno z dzieci z płaczem przyszło do pani się poskarżyć, że koleżanka powiedziała do niej „ty szkicu afrykański”. Pani nie zrozumiała, lecz się dopytywała i wreszcie zrozumiała: wszystkie dzieci znały okładkę „Płomyczka” czy „Świerszczyka” (bardzo dawne to czasy!), na której był kolorowy rysunek przedstawiający dżunglę i małpę na drzewie – z podpisem: „Szkic afrykański”. A skoro pani zabroniła dzieciom przezywać się per „małpa”, dzieci przyjęły swositą umowę społeczną i w jej ramach obelżywą „małpę” zamieniły na równoważnik, czyli „szkic afrykański”. Lecz ten „szkic” nadal funkcjonował jako wulgaryzm, słowo obelżywe i raniące.

Lecz i te wulgaryzmy bywają w praktyce językowej modyfikowane. Aby ewentualnie nie razić Czytelnika, przywołajmy „lżejszy” wulgaryzm, a więc: sukinsyn. Znaczeniowo, dosłownie: ‘syn sukii’. Przy deprecjacji (niezasłużonej) zwierząt, nazwanie kogoś „sukinsynem” było i zapewne bywa do dzisiaj – obelżywe. Ale przecież słowo to może być dźwiękowo wyrażone na rozmaite sposoby, nawet zupełnie zmieniające jego znaczenie w potocznym języku. Np. – pieszczotliwie i z podziwem (dla czczego wyczynu, zasługi, odkrycia): *su--kinsyn; zdolny sukinsyn; co za niezwykły sukinsyn* itp. itd. Może też być zdrobnione (deminutyw) np.: „a to sukinsynek”. Ponadto rzeczywiste i pierwotne znaczenie tego słowa chyba u większości użytkowników języka uległo zatarciu (podobnie jak s...k...syn i wiele innych wulgaryzmów) i wyraża jedynie emocje, najczęściej negatywne i chwilowe.

Niejako „sztandarowym” przykładem nadmiaru wulgaryzmów stał się tzw. język wojskowy, a ściślej: kaprański. Piszącemu te słowa trudno powiedzieć (bo jest starcem), czy np. **obecnie** w naszym wojsku (lub w sąsiednich wojskach) – język taki panuje nadal. W przeszłości jednak z pewnością panował, o czym wie on z autopsji. Twierdzono (i było tak!) że przy pomocy tylko jednego jedynego słowa na „k” kapral potrafił wyrazić wszelkie odcienie swych emocji i stanu ducha, lecz także trwale wbić w umysły podwładnych wszelkie rozkazy, polecenia i informacje. A przy pomocy kilku innych tego

typu „odzywek” i „wyzywek” osiągnąć wiele zbiorowych sukcesów wojskowych. **Mimo to trudno byłoby owych kaprali (i również innych wyższych rangą) posadzać, że nienawidzili swoich podwładnych.** Ba, to „magiczne słówko” potrafiło też wyrazić ich uznanie, pochwałę, a nawet przyjaźń...

Dodajmy, że tzw. słowa grube, czyli wulgaryzmy, bywają rodzajem psychicznego „wentyla bezpieczeństwa”: taka czy inna „wiązanka” wyrzuca z jej autora nadmiar emocji, obniża jej poziom.

W niektórych społeczeństwach nadmierna presja „kultury zachowania” i jej stereotypów sprawia, że dany osobnik ileś tam setek czy tysięcy razy cedzi standardowe „przepraszam” i „proszę” (i różne pochodne grzeczności wyrażania się) nawet w sytuacjach wymagających (w warunkach naturalnych) raczej „dania komuś po pysku”, niż prawienia mu grzeczności. Wpojono mu bowiem od dziecka, że koniecznie trzeba być „kulturalnym”.

A nie każda norma obyczajowa jest zawsze słuszna tylko dlatego, że ją za taką przyjęto – wedle jakiejś „umowy obyczajowej”. I nie zawsze jest zgodna z tzw. naturą człowieka. Efekt? Np. taki, że tam, gdzie dostęp do broni jest dość powszechny, dany osobnik w pewnym momencie nie mówi już „niech pan będzie łaskaw dać mi spokój”, lecz wyciąga broń, której użyje lub nie, lecz najczęściej – jeśli już wyciągnął, to wystrzeli. Albo – nic nie mówiąc – spoliczkuje kogoś. Tymczasem mógłby jakiegos „winowajcę” (za jego chamskie zachowanie) walnąć na odlew słowem, które tamten by, najczęściej, zrozumiał, i na tym by się skończyło – bez użycia ręki.

Ostatecznie zmierzam do tego, by twierdzić, że **tzw. mowa nienawiści całkowicie niesłusznie utożsamiana jest z mową wulgarną.** Oczywiście mowa wulgarna może towarzyszyć mowie nienawiści, ale **nie musi** i stosunkowo rzadko towarzyszy.

Tymczasem, nie stosując ani jednego wulgaryzmu, jakaś liczba ludzi, zwłaszcza półprawdy, ignorować to, co dobre (w kimś lub o kimś), a przywoływać tylko to, co złe (same wady, żadnych zalet), stosować słowa i konteksty pogardliwe, krasić mowę złośliwościami, czytelnymi sugestiami niewyraźnymi wprost; można by długo wymieniać sposoby z bogatego arsenału mowy nienawiści.

Niemniej – i tak będą to opisy dalekie od definicji, pozostając intuicyjne (jako oparte tylko na praktyce obserwacji i odczuć), odbierane często bardziej „naskórkim” niż intelektem, a zarazem wedle panującej umowy społecznej, kwalifikującej słowa, zdania i zachowania do obraźliwych lub nie; do takich, które są „prawdziwie nienawistne” i do takich, co są tylko wyrazem chwilowej emocji.

Zbiór możliwości jest bardzo szeroki, dlatego, na koniec, przykład:

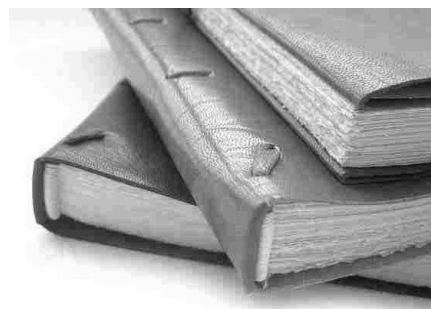
Dwóch rozmówców w telewizji. **Jest między nimi istotna różnica zdań.** Pierwszy przedstawiony jest na dole ekranu (na „pasku”) jako „doktor X” (skądinąd jest to mniej znana na ekranach TV osoba), drugi jako „profesor Y” (osoba od dawna i powszechnie w TV znana). Pierwszy zwraca się do drugiego z pełnym szacunkiem „panie profesorze”, a drugi? Drugi za każdym razem (często!), ostentacyjnie i z naciskiem, zwraca się do niego „panie magistrze”. Najprawdopodobniej na skutek pomyłki redakcji TV (jeśli jest to pomyłka) pana X przedstawiono na pasku jako „doktora”, a pan X w rzeczywistości jest magistrem, o czym akurat pan profesor Y wie, lecz o tej pomyłce nie wiedzą widzowie. Widz i słuchacz nabiera zatem (albo może nabrać) przekonania, że to **pan X fałszywie się przedstawił redakcji TV jako człowiek ze stopniem doktora**, co właśnie jest „obnażane” przez czujnego pana profesora Y.

W trakcie dyskusji na telewizyjnym planie **nie bardzo jest jak „oficjalnie” prostować**, w dół pomyłki – mało przecież istotnej dla meritum dyskusji – czyli sprowadzać pana X z poziomu „doktora” do „magistra”, skoro czyni to już pan profesor Y. Prowadzący spotkanie redaktor znalazł się więc w kropce. Nie może tego prostować, nie przenosząc zarazem dyskursu na boczny tor. Zwraca się więc do pana X już tylko „panie X” (nie „panie magistrze” czy „panie doktorze”), inteligentnie nie przesądzając, czy pan profesor Y jest w swej pogardzie dla Pana X **tylko złośliwy, bo pan X doktorem faktycznie jest**, czy też pan profesor Y **ma rację** – jakkolwiek rację niekonieczną dla dobrego obyczaju, aby ją publicznie podkreślać, dlatego nadal złośliwą.

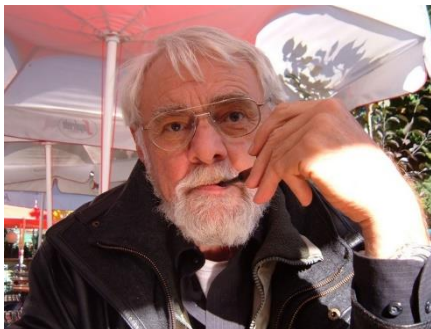
I teraz ja, piszący te słowa, zapytam nieco „grubszym” językiem: *I który z tych panów jest chamem; który z nich publicznie darzy rozmówcę pogardą, a zarazem wprowadza w zakłopotanie redaktora prowadzącego program?* Pytanie, oczywiście, retoryczne o tyle, że odpowiedź narzuca się sama. A cały dyskurs odbył się, przecież, kulturalnie...

A teraz wyobraźmy sobie, że pojęcie „mowy nienawiści” pojawia się w obrocie prawnym: zamiast cenzury – co za raj dla sądów i kryminałów! Jak nie kijem, to pałką. Nareszcie, wtedy, skuteczny kaganiec dla wolności słowa...

Harry Duda



Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

Krzyk zza grobów

Większość tych pomordowanych bestialsko ludzi nie ma grobów. Do tego miejsca ze wszystkich stron Europy prowadziły drogi skazanych na zagładę. To obóz koncentracyjny Auschwitz, który urosł już do symbolu miejsca, gdzie hitlerowskie Niemcy planowały oraz realizowały tę zagładę milionów obywateli podbitych krajów. Obóz w Auschwitz Niemcy zorganizowały w czerwcu 1940 roku jako miejsce straceń ludności polskiej, ale od 1941 roku stał się również miejscem, w którym mordowani byli obywatele Związku Sowieckiego, Jugosławii, Czechosłowacji oraz Austrii. W 1942 roku, a także w latach następnym, przybywały do obozu transporty ludzi z podbitych krajów zachodniej Europy. Od 1942 roku obóz stanowił miejsce zesłania mężczyzn, ale teraz zmienił charakter, gdzie przywożono i osadzano też Kobiety. Na początku tegoż 1942 roku nadeszły też transporty masowe Żydów, także w roku następnym Cyganów. Wprowadzono selekcje i każdy więzień musiał je przechodzić przed lekarzem SS, który zwykłym kiwnięciem ręki decydował o jego losie, wyznaczając ofiarę do grupy zdolnych, lub niezdolnych do pracy. Ci ostatni kierowani byli na śmierć. Po wojnie opublikowano ukryte w popiołach krematorium obozu w Birkenau rękopisy pisane przez członków specjalnych jednostek roboczych Żydów pod nazwą „sonderkommando”. To dzięki tym ludziom świat dowiedział się o poszczególnych fazach eksterminacji. I te zapiski są właśnie wielkim krzykiem z za grobu. Warto przytoczyć niektóre z tych pisemnych relacji:

„Rok 1942... wypychani z wagonów przez SS-manów, rzucają się na nas wściekłe psy, wilczury i dobermany. Razy pałkami, jęk i krzyki wymieszane z wrzaskiem wartowników. Po przejściu do obozu posiłek zupa z brukwi, formalności rejestracyjne i cały transport – tysiąc ludzi maszeruje pod eskortą 3,5 km do Birkenau. Przed obozem SS-mani blokowi i kapowie uzbrojeni w pałki. Kazano nam biegać przez bramę obozu galopem, okładając pałkami, gdzie popadło, za nami leżący ciężko ranni i zabici. Mijają nas wracający z pracy Żydzi, wynędzniali, sprawiający wrażenie szkieletów ludzkich. Nazywano ich w obozie muzułmanami. Ta garstka Żydów ocalała z grupy 1200 przybyłych przed dwoma tygodniami. I tak z naszego transportu liczącego 1000 ludzi,

pozostało przy życiu 250 ludzi, reszta w ciągu 5 tygodni była wymordowana, nie sposób przedstawić tu większej liczby przekazów, jest ich tysiące”.

„Było to w końcu lata 1944 roku dotarł transport Żydów ze Słowacji, czuli bliskość śmierci i zachowywali się spokojnie, rozebrani zostali siłą wepchnięci do bunkra, gdzie gazowano kobiety. Jedna krzyknęła, że może wydarzy się cud i będziemy ocaleni... Wcześniej w 1943 roku przywieziono transport złożony wyłącznie z dzieci. Pochodziły one z ostatniego getta na Litwie. Prosto z transportu posłano je do rozbieralni. Oto mała dziewczynka – może pięcioletnia – rozbiera rocznego braciszka. Jeden sonderkommando chce jej pomóc na oczach kommandoführera. Dziewczynka woła na głos: *pracz ty żydowski morderczo! Nie kładź swojej ręki zbezczeszczonej żydowską krwią na moim pięknym braciszku! Ja Jestem jego dobrą mamusią, on umrze na moich rękach razem ze mną.*

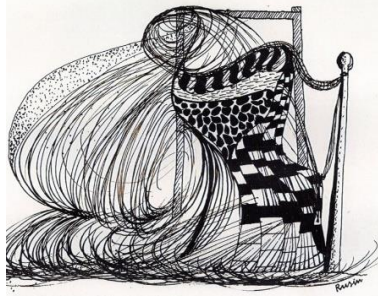
Obok stał chłopak, miał może 7 lat i też wyzywa członka sonderkommando: „ty też jesteś żydem, a prowadzisz takie kochane dzieci do gazu po to tylko, abys ty mógł żyć? Czy twoje życie wśród bandy morderców jest ci droższe niż życie tylu ofiar żydowskich?”

I jeszcze jedna relacja spod stosu popiołu:

„Było to na początku 1943 roku, komora gazowa zatłoczona żydami. Jeden żydowski chłopak pozostał jakoś na zewnątrz. Dobiegł do niego SS-unterscharführer chcąc go zabić pałką. Masakrował chłopca w bestialski sposób, krew ciekła na wszystkie strony i nagle chłopak porwał się na nogi z ziemi i stojąc, patrzył na mordercę. Trwało to chwilę, potem Niemiec roześmiał się cynicznie, dobył rewolwer i zastrzelił chłopca. Hauptscharführer Mohl (skazany w procesie w Dachau na karę śmierci) miał zwyczaj ustawiać po cztery osoby na jednej linii i jedną serią wystrzału przeszywał wszystkich czterech. Jeśli któryś uchylił głowę, wrzucał go żywcem do płonącej mogiły nieboszczyków”.

Rękopisy znalezione w stosie popiołu są zeznaniem z za grobu i oskarżeniem tego zbrodniczego systemu, którego funkcjonowanie poznali na ocznie autorzy tych dokumentów. Wszystko pisane było w pośpiechu, aby pozostawić potomności obrazy tego, co widzieli na własne oczy.

Kazimierz Ivosse



Rys. Stefan Rusin

Iwona Pinno

Coraz mniej nadziei

Ogień jesieni dopala czas,
czerwonym blaskiem żar jeszcze płonie
i coraz mniej nadziei w nas,
że spłotą się wreszcie nasze dłonie.
Cisza otacza ogród twych słów,
liście opadły na trawy łąn,
który zabił dziś w nocy mróz,
a księżyc w pełni wsiadł już do san.
Niebieskim wozem w przedwczesny wieczór
nadjechał smutek i w kącie siadł,
wiersze pozbierał smętnych poetów
tęczowy zachwyty ich uczuć zbladł.
Lodowym wiatrem zima powiedziała,
z kuła jezioro gorących łez,
które nad ranem jesień wylała
za swym kochankiem, co przepadł gdzieś.
Jedynie wiatr w koronach drzew
poruszył strunę wrześnieowych dni
i cichuteńko popłynął śpiew,
co się marzeniom po nocy śni.

Cmentarz

słońce toczy się wolno
spod pierzyny szronu
z kamiennego krzyża Jezus
spogląda w twarz dnia
z boku buki dusze zastęgle
i brzozy jak zwiewne anioły
modrzewie w złotej mandorli
procesją wstępują w niebieskość
dali rozdartej krzykiem wron
oto wieczór schodzi z tronu gór
z orszakiem Wszystkich Świętych
zapala się wiejski cmentarz
nad zadumany lasem płynie cisza

Motyl

mała gąsieniczka bólu
wżera się w duszę
jak w zielony liść sałaty
karmisz ją
w ogrodzie własnych emocji
w święto zmarłych
ból rośnie na grubość palca
włożonego w bok Chrystusa Pana
chcesz by umarł w nim na zawsze
ale on odradza się tylko
prometeuszowym wysiłkiem
stworzenia
poczwarka egzystencji
na planecie ziemi
z której rodzi się motyl
wzbija się w niebo
cudnie i beztrudnie
by na zawsze unicestwić
przemijanie



Kozetka (106)



Lucky chain. Chain, chain, chain...

*Everywhere I go, I find the poet
has been there before me.*

Sigmund Freud

Joanna Friedrich

Mam taki zapieprz na fejsbuku, że nie wiem, jak dam radę napisać ten tekst jednym ciągiem.

5000 znajomych to jednak nie przelewki. *Savoir vivre.*

Chain, chain, chain...

Tak, zgadliście, gadżetem sezonu jest „lucky chain”.

Dyndają wszędzie / dzyndzolać, a dom mody Chloe pokusił się nawet o wysłanie zaproszenia na swój pokaz w formie łańcuszka na szczęście. Słodkie przekupstwo. Dopiero, co napisałam o elfickim balu, a już okazuje się, że 2025 rok tak właśnie będzie wyglądał – Bal Elfów: Mój dzisiejszy wybór po prostu musiał paść na Chloe.

Trudno powiedzieć, czy lepsze są słowa, które jeszcze siedzą w człowieku, czy te, które już z niego wyszły. Trzeba próbować. *Degustować. De gustibus non est disputandum.*

Pod choinkami oczywiście grzyby. Grzybiarze i grzyby. I podobno wilki.

Coraz trudniej przychodzi mi odpowiedź na proste pytanie, co słyszać. To zależy, ile się nie słyszeliśmy. Żyję przyszłością, jak zawsze. Sylwestra chciałabym spędzić w sukience – kto wie, może wcale więc nie wyjdę z domu. Zrobiła się ze mnie puszczająca domatorka.

Miasto wypuszcza łatwiej. Są lotniska. Stacje paliw, stacje kolejowe. Same trampoliny zdarzeń.

Puszcza jest jak szmaragdowy ocean, który właśnie przeradza się w złoty, mam tu nawet „purple rain” ze zwariowanego bluszczu. Patrzysz na to oczami – jak mawia moja najmłodsza latorośl – i czujesz, jak krystalizuje się w Tobie na stałe zwariowany niczym ten bluszcz – introwertyzm. Purple rain... chain, chain, chain. Do letniej kolekcji Chloe dorzucam nie-Chloe – za to z jadeitu. Uwielbiam jadeit, zarówno w sztuce chińskiej, jak i meksykańskiej.

Według Konfucjusza, symbolizuje on jedność ciała i umysłu, a chińskie powiedzenie mówi, „złoto ma jakąś wartość, wartości jadeitu wycenić się nie da”.

Święty Mikołaju, przypominam, że pod choinką zimą, obok mojego osobistego japońskiego wilka, bądź uprzejmy położyć jadeitową bangle, please.

Prysznic. Prysznic jest eko – a najbardziej prysznic we dwoje. Fashion shower jest ciągle jeszcze „in”, natomiast po piętach, wyobraźcie sobie depcze mu „Everything shower” i dotyczy nie mody, tylko kosmetyków, oraz okazuje się, że robię to prawie codziennie, bezwiednie, zanim termin się pojawił. To dlatego czasem nie wiadomo, co było pierwsze, jajko, czy kura, a także – nie wszystko da się wyrazić słowami – czasem wystarczy, jak to mówi nasz przyjaciel „robić rzeczy”. Ruch to wyzwajające doświadczenie. Taras widokowy na świat.

Niektórzy w pędzie szukają wciąż okien /na świat, inni, niczym Budda, podróżują siedząc.

Jak wyrzucam z siebie te moje słowotoki, faktycznie widzę, że odpowiedź jest we mnie.

Wystarczy przysiąc fałd.

„Daj, ać ja pobruczę, a ty poczywaj.”

cdn.



Katarzyna Osuch-Leniec

Zyczenie

uchronić nas chcę
od zapomnienia

przechować zdarzeń
wachlarz w szkatułce
z bursztynu

ktoś znajdzie
tam kiedyś
spojrzenia nasze
w jedną zwróconą
stronę

czy oni byli
tu naprawdę

czy tylko
na Morfeusza
skrzydłach
bań wzniosła się
srebrzysta

ocalmy siebie
od nieistnienia
by kres położył
zwątpieniu

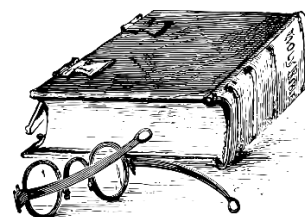
Studium odrętwienia

biały jest sufit
lecz zmieni kolor
gdy zaczniesz się
w niego intensywnie
wpatrywać

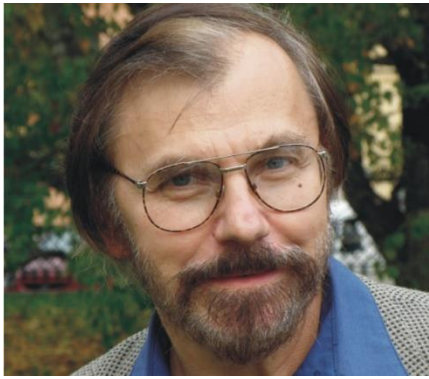
czy pojawiające się
tam pejzaże
wydobędą cię
z rumowiska

kolczaste sześcianów
krawędzie obezwładniają
skutecznie
nie dosięgniesz
kierunku następnego

lecz jeśli uwierzysz
z popiołów powstać
możesz jak Feniks
przejdiesz przez
drzew konary leżące



Listy do Pani A. (196)



Fot. Andrzej Dębowski

Sensy i bezsensy

Droga Pani!

Lubię nastrój zaduszkowy. Trochę pośpny, czasem ponury, częściej nostalgiczny. Przychodzą wspomnienia, bardziej może odczuwa się pustkę, która wytwarza się wokół nas. Na co dzień nie odczuwa się braku, ale jeśli zaczniemy się cofać w czasie, to okaże się, że bardzo wielu osób, które żyły w naszym najbliższym otoczeniu, już dawno nie ma. Mało tego. I teraz na naszych oczach odchodzą bliżsi i dalsi znajomi.

Nie ma już telefonów od Borysa Ruski, nie pójdziemy już nigdy do Łazienek wypić piwo na ławeczce ze Zbyszkim Doleckim, nie pożartujemy z Leszkiem Żulińskim, Janem Stanisławem Kiczorem, nie będzie spotkań w Staszowie i towarzyszącej im niepowtarzalnej atmosfery, jaką potrafił stworzyć nieodżałowany przyjaciel Stanisław Nyczaj. Znikły festiwale poetyckie organizowane przez Aleksandra Nawrockiego. Gdzie się podział humor Ryśka Ulickiego, rozmowy z Andrzejem Krzysztofem Waśkiewiczem? Pani zapewne aż tak tego nie odczuwa, bo w otoczeniu młodych ludzi to wszystko zmienia się wolniej. Nie chcę dalej się rozpisywać, bo list zamieniłby się w listę wypominków. Pamiętam tych ludzi, z którymi się spotykałem, którym nie mało zawdzięczam; których podziwiałem. Przyjaciół, mentorów, kolegów.

Ze zdziwieniem konstatuję, że niektórzy młodzi i na mnie patrzą z pewnego dystansu, onieśmielam ich, staję się dla nich pewnego rodzaju punktem odniesienia. Ale przecież na tym polega „przemijanie”.

Wczoraj była taka sytuacja: Ania weszła do sklepu, ja zostałem na zewnątrz obok nieznanego pieska, który też czekał na smyczy (ja luzem!). Piesek co chwila szczełał, bardzo się niecierpliwił. Ania usłyszała, jak jedna dosyć stara klientka powiedziała do drugiej, swojej rówieśnicy: „on się tak denerwuje, bo koło niego stanął jakiś dziadek”. Oczywiście nie wiedziała, że Ania jest ze mną. Pomyślałem sobie, że podlegam pewnemu złudzeniu: wewnątrz mogę się czuć jak trzydziestolatek, a na zewnątrz widać dosyć już zmurszałe opakowanie. W każdym razie bardziej mnie to rozbawiło niż zasmuciło. Lubię takie sytuacje

anegdotyczne, bo poza tym budzą jakieś refleksje.

W wywiadzie udzielonym Damianowi Jankowskiemu Wacek Oszańca powiedział, że owszem, przemijamy, ale czy przestajemy istnieć? Nawet jeśli nie postrzegamy tego w kategoriach metafizycznych, to przecież jakoś tam ocalamy się w tym, co piszemy, w listach, w pamięci tych, którzy nas znali.

Ukazała się w WYDAWNICTWIE AUTORSKIM ANDRZEJ DĘBKOWSKI książka Marka Wawrzkiwicza „Nie minęło”. To zbiór wspomnień, esejów, refleksji, niekiedy bardzo osobistych. Bardzo tę książkę Pani polecam.

Pojawiają się tu ludzie, którzy od nas odeszli. Tak więc mamy żywe przypomnienie Juliana Kawalca, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Zbigniewa Jerzyny, Romana Śliwonika, Jerzego Górzańskiego, Tadeusza Kijonki... Przypomniała mi się pewna anegdota związana z Tadzkiem. Oto pewnego ranka będąc pod dobrą datą po nocnych bachanaliach, wsiedliśmy do windy, aby udać się na poranek autor-ski. Wraz z nami jechała grupa dzieci z niższych klas podstawówki. Tadzio chciał nawiązać życzliwy kontakt: „cześć dzieciaki. Co tam u was w szkole? Dużo chłacie?” Tadeusz Kijonka był człowiekiem wielkiej dobroci i poczucia humoru, świetnym, wybitnym poetą.

Jaka szkoda, że tamte czasy, ówczesne barwne indywidualności, odsunęły się tak daleko, aż do... bezczasu. Jednak w tytule książki zawarł Marek bardzo ciekawą, niezmiernie słuszną choć prostą myśl: „nie minęło”.

Książka jest świetna, napisana z właściwym autorowi dystansem i błyskotliwym humorem. Raz jeszcze namawiam Panią do zdobycia tej wyjątkowej książki, za którą Marek Wawrzkiwicz otrzymał medal wraz z nominacją do Nagrody im. Norwida za 2024 rok.

Ludzie wędrują po cmentarzach, wokół płoną znicze, panuje nastrój refleksyjny. Ale nie wszędzie. Zbyt dużo jest idiotyzmów haloweenowych, masek, wydrążonych dyń, jakichś zabaw w duchy. To zwyczaj obcy naszej kulturze, ale skoro już jest, niechże sobie będzie, ale niekoniecznie w narzucającym się, jarmarczonym nadmiarze.

Idiotyczna dla mnie była „dyskusja”, czy zwierzę „umiera”, czy „zdycha”. Niektórzy zaczęli się o to spierać zupełnie poważnie, jakby było o co. To tak, jakby kruszyć kopie o to, czy zupa się gotuje, czy warzy; czy powiedzieć „spodnie” czy „portki”. To tylko – nazwijmy to – estetyka słów. Ile razy mówimy o swoich wrogach, że zdychają, albo życzymy im (niestety bez skutku) aby zdechli. Jeśli więc uświadomimy sobie, że pies czy kot (albo inne stworzenie) nie są przecież naszymi wrogami, to z czystym sumieniem można powiedzieć, że umierają. Powiedzenie, że zwierzę umiera nie pozbawia nikogo z dwunożnych osobliwej „godności”. Dziwi mnie ta przesada i drażliwość niektórych. Oburza mnie też termin „mowa nienawiści”. Pewnie już wkrótce pod karą więzienia nie będzie można używać słowa „złodziej”, tylko „osoba w kryzysie lekkości rąk”.

Pomimo dziwactw współczesności trzeba w miarę normalnie żyć dalej.

Polecam więc Pani uwadze poemat Elżbiety Musiał. Od wielu lat obserwuję ewolucję artystyczną tej poetki. Zawsze ceniłem jej wiersze, potem Elżbieta przesunęła z powodzeniem punkt ciężkości swojej poezji w kierunku poematów. Dosyć hermetycznych, ale pełnych odniesień filozoficznych i kulturowych.

I tak poematy Elżbiety Musiał stały się unikalnym zjawiskiem we współczesnej poezji. W migotliwym świecie, pełnym hałasu i pośpiechu, autorka najnowszego utworu „TOTUM” podąża pod prąd – te wersy stają się medytacją, zachęcają do spojrzenia w głąb siebie i uważnego zatrzymania, by „uświadomić co nieuświadomione”. Poetka pokazuje, w jaki sposób to co materialne łączy się z tym, co duchowe, osobiste, nieuchwytnie. Mamy tu swoisty „strumień świadomości”, ale też żywy (i życzliwy) dialog z elementami rzeczywistości, które niejako przenikają się z podmiotem lirycznym. Jest wreszcie „TOTUM” ważnym dialogiem z innymi poetami (m.in. Baczyńskim, Baudelairem, Staffem, Leśmianem, Szymborską). To utwór inspirujący wyobraźnię, otwierający nowe przestrzenie dla refleksji nad sensem i głębią istnienia – ale też niosący duchową nadzieję, o którą w naszych czasach coraz trudniej. To bardzo ważny we współczesnej literaturze poemat.

Patrząc powierzchownie można powiedzieć, że we współczesnej literaturze nie dzieje się nic. Tymczasem to tylko złudzenie, jeśli przyjmujemy, że dobra literatura nigdy nie była zjawiskiem masowym, ginęła w powodzi grafomanii. Ale jednak na powierzchni tego „zalewu” unosiły się i unoszą, niczym bardziej lub mniej widoczne statki, dzieła wartościowe. Nic więc nowego.

Chociaż, ogólnie biorąc, żyjemy w czasach niemal apokaliptycznych. Rozpad wartości, ludobójcze wojny, pożary, rozmaite kataklizmy, a ostatnio olbrzymie powodzie, jak choćby w naszym kraju. Tysiące ludzi pozbawionych dachu nad głową, całego dorobku życia. Czy istnieje jakaś odpowiedź na to pytanie? Czym oni zawinili? To jakaś wielka tajemnica, ale w takim niebezpieczeństwie trudno od kogoś wymagać, aby dopatrywał się w tym wszystkim metafizycznych sensów. To my możemy sobie rozmyślać siedząc w ciepłych, suchych, nieuszczerplonych domach. A jednak... Nie wszystko da się prosto zinterpretować. Czesław Niemen śpiewał „dziwny jest ten świat”. I pytanie: kto tę rzeczywistość tak „udziwnił”? Czy nie są to konsekwencje długotrwałego, szalonego działania człowieka? A zatem co z odpowiedzialnością zbiorową, z elementarną sprawiedliwością? Ale gdybyśmy wszystko wiedzieli, świat nie byłby już dla nas tak ciekawy. I może w tym tkwi jakiś sens?

Zostawiam Panią z tym pytaniem i pozdrawiam jesiennie –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

Po prostu dobry człowiek

Mój kuzyn Feliks Dębkowski, emerytowany nauczyciel z Łasku, zwrócił się do mnie w ubiegłym roku z prośbą o napisanie kilku słów wspomnień o Przemysławie Markiewiczu – moim nauczycielem języka angielskiego w Liceum Ogólnokształcącym w Żelowie. Powiedział, że tekst będzie wykorzystany w publikacji poświęconej zmarłemu nauczycielowi żelowskich i łaskich szkół... Bo profesor Markiewicz zmarł 6 listopada ubiegłego roku. Jakże miałbym się nie zgodzić...

Andrzej Dębkowski

Listopad to miesiąc zadumy nie tylko nad upływającym czasem, lecz przede wszystkim nad mijaniem życia. Kolorowe znicze świecące tysiącami na cmentarzach odwiedzanych przez rodziny spoczywających tam zmarłych przypominają, że nieodłączną częścią życia jest jego upływanie i ciągła zmiana pokoleń.

Wspomnienia to dziwna rzecz. Czasami są całkiem realne, ale bywa, że stają się tym, czym chcemy, żeby były. Często przypominają nam, że szczęście jednak istnieje. To jedne z najpiękniejszych niematerialnych rzeczy, jakie możemy posiadać. Dzięki nim miłe i wyjątkowe chwile zostają z nami na zawsze i w każdym momencie możemy do nich wracać.

A jakie życie we wspomnieniach nazwiemy dobrym? Chyba takie, które jak porządny tekst – ma początek, środek i koniec. Takie, które wypełnione jest treścią. Szacunkiem dla człowieka, sumiennej pracy,

znajdowaniem czasu dla wszystkich. Pielęgowaniem relacji, nieustanną troską o to, by jutro było lepsze niż dziś. Właśnie takiego zapamiętałem Przemysława Markiewicza, mojego nauczyciela-profesora języka angielskiego w Liceum Ogólnokształcącym w Żelowie.

Los zetknął mnie z nim w 1976 roku, kiedy jako świeżo upieczony absolwent szkoły podstawowej postanowiłem dalszą edukację kontynuować w żelowskiej „alma mater”. To był duży przeskok edukacyjny i towarzyski. Nowe przedmioty, nowi nauczyciele, nowi koledzy.

Takim novum był właśnie język angielski. W tamtych czasach nauczanie języka zachodniego zaczynało się w szkole średniej, więc moje oczekiwania były duże. Profesor Markiewicz należał do tej grupy nauczycieli żelowskiego liceum, których po prostu lubiło się. Cichy, skryty, niezwykle delikatny, z dużymi oprawkami okularów na nosie, jakby chciał się za nimi ukryć. Do dzisiaj pamiętam ten jego szaro-matowy, ale jakże ciepły głos. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek zdenerwował się na kogoś, chociaż muszę przyznać, że niektórzy koledzy nie zachowywali się zbyt poprawnie. Pamiętam także, jak jeden z kolegów podczas lekcji ciągle jadł. Zauważył to profesor Markiewicz, podszedł do niego i z twarzą niemal mimiczną rzekł:

– Tomku, mógłbyś chociaż podzielić się ze mną. Przyjechałem dzisiaj bez śniadania...

Tutaj nastąpiła dość długa przerwa, po której nasz angilista odwrócił się, podszedł wolnym krokiem do swojego biurka i patrząc przez okno wychodzące na południową stronę świata, głęboko westchnął i wyszeptał coś pod nosem...

Cieszył się dużym szacunkiem wśród młodzieży. Na jego lekcjach nikt nigdy nie hałasował, nie gadał, nie przerywał mu. Nie żęby wymagał, po prostu swoim zachowaniem, takim spokojnym, dystygowanym, powodował, że nie należało po prostu inaczej postępować.

Zawsze miał dla każdego czas, lubił odpowiadać na najróżniejsze pytania, najczęściej związane z językiem angielskim. Sam wielokrotnie pytałem go, jak należy wymawiać nazwy różnych zespołów, głównie rockowych, którymi bardzo się interesowałem. Wtedy mocniej otwierały mu się oczy, jakby błyszczały inaczej, jakoś tak radośniej.

Jednak najbardziej utkwiła mi w pamięci sytuacja, która miała miejsce na jednej z lekcji. Był październik 1978 roku. Profesor Markiewicz wszedł do klasy, podszedł do biurka, położył dziennik i odczytał listę obecności. Dziennik odłożył powoli na bok i zastygł w milczeniu. Po krótkiej chwili wyciągnął z szuflady mały krzyżyk, osadzony w jakiejś podstawie, a obok krzyżyka, była maleńka, biało-czerwona flaga. Do końca lekcji nic nie mówił, my siedzieliśmy w absolutnej ciszy, zastanawiając się, co też musiało się stać. Kiedy zadzwonił dzwonek na przerwę, nikt nawet nie drgnął. Po chwili profesor wstał i rzekł do nas:

– Kochani, Polak, kardynał Karol Wojtyła został papieżem...

I wtedy zauważyliśmy, że wielkie jak grochy łzy wypłynęły spod tych jego dużych okularów i płynęły po jego twarzy... To było jedno z tych wydarzeń w mojej czteroletniej, licealnej edukacji, które pamiętam z taką dokładnością do dzisiaj...

Po ukończeniu liceum już nigdy nie widziałem się ze swoim nauczycielem angielskiego. Wiedziałem, że uczył w Łasku, ale nigdy nie było okazji, żeby się spotkać, porozmawiać. Niedawno dowiedziałem się, że miał wielką pasję – była nią poezja. Dostałem kilka jego utworów, wyrażających różne emocje i refleksje. Ale wszystkie łączy jedna rzecz – miłość do słowa i wiara, że przecież może być pięknie na świecie. Musimy tylko to piękno w sobie odkryć i je pielęgnować.

Oto jeden z wierszy, który jest jakby kwintesencją charakteru i osobowości autora:

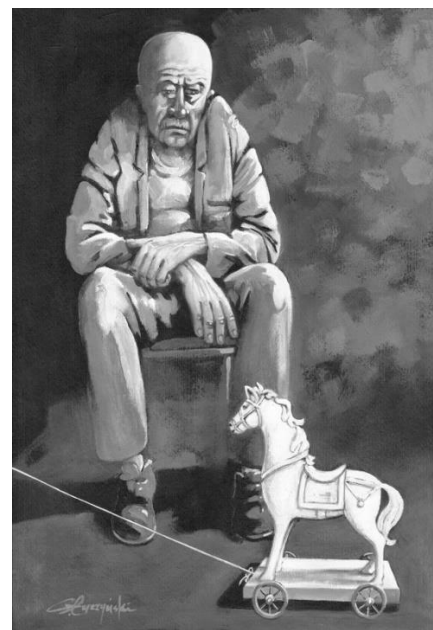
*Tyle słów zbyt długo milczałem Teraz
atramentowy krzyk Lament Rapsody
Wyrywanie piór A serce kuleje z tyłu
Niebo oschodzi w jesień Grzyby
pomarły Grzybice kwitną Krzyżę
W papier Placzę atramentem
Ubieram w słowa prawdę*

zbyt naga

Dobre wspomnienia są jak klejnoty. Nie ma dwóch identycznych. Człowiek zbiera je... Jedne wyrzuca, inne zachowuje, aż pewnego dnia, obejrzawszy się za siebie, dostrzeże, iż utworzył długą, wielobarwną mozaikę.

Wiele osób uważa, że zmarli nigdy tak naprawdę od nas nie odchodzą. To między innymi nasze wspomnienia o nich sprawiają, że zostają z nami na zawsze. Są w naszym sercu i w naszej pamięci.

Dobre wspomnienia ogrzewają człowieka od środka. Te o profesorze Przemysławie Markiewiczu grzeją szczególnie mocno...



Rys. Sławomir Łuczyski

Ławeczka Józefa Barana (24)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

Jak doszło do poznania? Impulsem stał się podobno wiersz *Śpiąca konduktorka*, na który krytyk natrafił w miesięczniku „Poezja” (w 1973 roku), gdy – nomem omen – sam jechał pociągiem. Wiersz wpadł mu w oko i przypadł do gustu na tyle, by – gdy rok później otrzymał od telewizyjnego „Pegaza” stertę tomików debiutanckich do oceny – skupił uwagę właśnie na moim zbiorze *Nasze najszczersze rozmowy*, uznając go za najciekawszy debiut roku. Dowiedziałem się o tym, jak o sensacji od ekipy telewizyjnej z „Pegaza”, która nagrała ze mną w Krakowie rozmowę. Tymczasem ja, nieuk, nie wiedziałem wówczas jeszcze, kto to Sandauer, czym wprawilem redaktora w lekkie osłupienie. Program został wyemitowany. Ja w międzyczasie uzupełniłem wiedzę o krytyku, ale za wystąpienie w telewizji podziękowałem mu dopiero w rok później, kiedy wydałem kolejny zbiorek poetycki *Dopóki jeszcze* i wysłałem profesorowi z człołbitną (bo jakże by inaczej) dedykacją. A co działo się później – to już w listach...

Układa się z nich wieloletnia historia mojej znajomości z Sandauerami. Przy czym trzy-nastacie pierwszych lat to prawie wyłącznie listy z Arturem, następne – to korespondencja z Erną...

Zapamiętałem ich obojga jako „zgodne małżeńskie przeciwieństwo”: ogień i woda, burza i milczenie, sztorm słów i cisza morska. Przy stole biesiadnym „tokował” zawsze Artur. Erna w tym czasie z tajemniczym uśmiechem sfinksa formowała z papierowych serwetek figurki baletowe, którymi obdzielała dzieci (moje), a i czasem nas dorosłych. Czuło się, że Erna ma jakąś tajemnicę w środku. Dopiero po latach dowiedziałem się o tragicznych przejściach malarki w okresie okupacji, gdy na jej oczach szmalcownik zamordował w lesie jej rodziców, a ona sama cudem z tego wyszła, tak jak cudem wywinęła się też z

Holokaustu, ukrywając się przez parę lat w różnych miejscach i miastach...

Tak, Erna cała osnuta była tajemnicą i dyskrecją, ale od czasu do czasu wpadała w „szampańskie nastrój” i wykrzesywała za siebie fajerwerki surrealistycznego ścichapek humoru – układając żartobliwe kalambury, powiedzonka, wierszyki albo przekręcając pełne powagi zdania Artura i kształtując z nich – jak z bibulek figurki – słowne wygłupy. Wtedy pan Artur czuł się ubezłasnowolniony. Jego profesorska powaga na tle jej wygłupów stawała się przez chwilę anachroniczna. Komentował to dobitnie: „Ela kocha wygłup. Wszyscy malarze kochają wygłup. Są nie na serio”...

W latach osiemdziesiątych Artur Sandauer przystał do obozu Jaruzelskiego. O szczegółach, związanych z tym „nieszczęsnym” – jak mawiał pod koniec życia – akcesem, piszę szerzej w przypisach do listów. Uważał, że stan wojenny był złem koniecznym ze względu na możliwość interwencji sowieckiej. Działał nawet w Narodowej Radzie Kultury. Twierdził, iż dlatego, bo miał nadzieję przekonania generała, by wprowadził do szkół średnich łacinę, gdyż Polacy są językowo „niedouczeni” (sam znał grekę, łacinę, hebrajski i posługiwał się w miarę biegle bodaj jedenastoma językami)...

Warto na koniec tego postscriptum dodać, że zarówno moje ostatnie spotkanie z Arturem, jak i z Erną, miały dość dramatyczny charakter. W 1988 roku na wieść o tym, że profesor jest w szpitalu na warszawskim Bródnie w stanie śpiączki – pojechałem do niego z kwiatami, lecz do rozmowy nie doszło. Leżał nieprzytomny, oczy miał zamknięte, wydawało mi się, że śpi, choć podobno moją obecność zarejestrował, o czym doniosła mi w listach Erna.

Z Erną po raz ostatni spotkałem się w 2003 roku, gdy przyjechałem do córki Asi do szpitala na Mokotowie (gdzie przyszła na świat moja pierworodna wnuczka) i postanowiłem zajrzeć przy okazji (z drugą moją córką Ewą) do bliskiego mi mieszkania przy ulicy Karłowicza.

Zastałem Adama (syna Erny i Artura), wówczas dziewięćdziesięcioletnią starszyczką, która miała już tak wtedy mocne zaniki pamięci, że mnie nie poznała. Odebrałem to jako szok... Mimo to rozmawialiśmy i poczęstowała nas herbatą i ciastkami. Jak surrealistyczny żart zabrzmiało jej zdanie: „Siadajcie, częstujcie się, ja nikogo nie pamiętam, nic nie wiem, poza tym że urodziłam się we Lwowie”. „Miejsca urodzenia sobie człowiek nie wybiera” – powiedziałem, żeby coś powiedzieć. „Tak pan myśli? Czy ja wiem... może jednak to od nas też zależy... gdy bardzo tego chcemy” – odrzekła z tajemniczym uśmiechem.

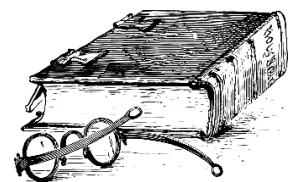
Kiedy wspominałem o pogrzebie Artura w 1988 roku i o stypie, sformułowała zaskakującą myśl: „Ja też umarłam, tylko nie jestem jeszcze pogrzebana”. Po dawnemu się śmiała, po dawnemu wyglądała, po dawnemu słuchała. Tylko trochę bardziej przygarbiona, zdrobniła, przysiwiała... Miałem wrażenie, że za chwilę wstanie, roześmieje się i powie: „Ja tylko tak żartuję, oczywiście, że Cię pamiętam

i pamiętam Twoją książkę *Śnił mi się Artur Sandauer*... A jednak nie wstała, nie powiedziała tak, a o książce nie pamiętała. Zachowywała się jak małe inteligentne dziecko, które sonduje reakcje dorosłych i odpowiednio się do nich ustawia. Przy pożegnaniu wiedziałem, że jest to nasze ostatnie spotkanie... Że jest teraz kimś w rodzaju dziecka, po jakimś czasie przemieni się w oseska i powróci do łona matki-ziemi. Może to nawet błogosławiony stan taki zanik pamięci, takie powolne oswojenie się z nieistnieniem... Za chwilę ludzie znikną i świat zniknie jak wywabiona plama... A przecież napisała mi w ostatnim liście, że wszystko, co było – jest i wciąż trwa...

Październik – Zapiski szwedzkie

Lot do Sztokholmu potem przejazd z lotniska Skavsta do Sztokholmu gdzie czekała pani Ewa Bielska ze Stowarzyszenia Polek, która zawiozła mnie na Handelsvägen 172 (Hotorget). Kolacja u Marii Zięciak (schorowana) w Domu Seniora. Pokoik z widokiem na jarzębinę i lassek. W Sztokholmie lasy i gwiazdy wchodzą do okien: dębowe, lipowe, brzożowe. Fantastyczna sprawa. Dobry, stonkowo długi jak na mnie sen. Poczytywanie *Dziennika 1954*, który pozytywnie mnie rozczarował. Nie myślałem, że Tyrmand to taki talent pierwszej wody. I jaka kultura, jaka ostrość widzenia i nazywania! Oczywiście może irytować jego snobizm, jego przywiązywanie nadmiernej uwagi do strojenia się, puzszenia przed lustrem i imponowania bikiniarstwem. Jest mi to jako półabnegatowi-hipsterowi zupełnie obce, choć odczuwam też nutkę zazdrości, bo jego gust znamionuje wyższą „próżniaczą” klasę, co wynosi się z domu, gdzie obowiązywała inna niż w moim chłopskim, kindersztuba, ufundowana właśnie na bezliku wolnego czasu... Czyta się Tyrmandą z wielką przyjemnością. Na zdjęciu – jego twarz „na serio”, choć myślałem, że niepoważny, ale dotąd mało bardzo znałem Tyrmandę... Poza tym przy czytaniu nachodzi człowieka zdziwienie, jak dużo można powiedzieć o sobie, o świecie, o stalinizmie, zapisując tylko trzy miesiące z własnego życia. Jak się to ma do Szwecji. Oczywiście nijak. W autobusie i samolocie trzeba się jednak czymś wypełniać i dokarmiać. Nie tylko bułkami z szynką. Wyprawa do Sztokholmu jest moją małą podróżą sentymentalną. Ile razy ja tu już tu czasu spędziłem!? Gdyby zsumować, to uzbierałby się pewnie rok. Cieszę się, że dostałem od pań kartę tygodniową na dowolne przejazdy, mogę fruwać po mieście i od-pominać nazwy przystanków, dzielnic, ulic, w ogóle Sztokholm.

cdn.



Miasto – to dom dla poety

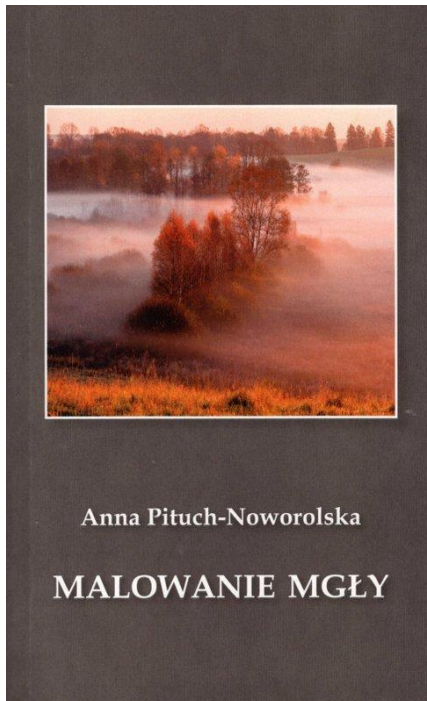
Książka **Anny Pituch-Noworolskiej** pt. „Malowanie mgły” zawiera wspomnienia poetki związane z Krakowem z okresu młodości, ale również w kontekście współczesności. To zbiór opowiadań mających charakter prozy poetyckiej. To zbiór refleksji nad „starym domem”, współzycie z rodziną i bliskimi w tym okresie, liśćmi fruującymi nad Plantami. Poetka przytacza z pamięci, a miała wtedy dziewięć lat, obrazy tego domu, bliskich i uroczych zakamarków Krakowa. Opowiada o szkole, koleżankach, z którymi tam uczęszczała, porządkowanie Plantów, ale i braki w artykułach powszechnej użyteczności, nastrożających całe ciągi problemów egzystencjalnych, np. remontami i przebudową pieców. Autorka opisuje widok z okna ze swojego pokoju, grę w warcaby z koleżeństwem i rodzicami, i towarzyszące temu nocne sny. Opisuje obraz w pokoju gościnnym, strych i zniesione tam graty, a i sople wiszące z parapetu za oknem. Ciężkie mrozy, niedzielne, kruche ciasto na deser. Wizyty gości na imieninach, nauka gry na pianinie, koncerty domowe, wprawy do kina. Obserwacja nieznaną, dzikich lokatorów, żebraków, dozorcę.

Autorka opisuje również wędrówki na Kazimierz, most Kościuszki, most Dębnicki, wizyty w Ogrodzie Botanicznym, wyjaśnia jak dochodziła do źródła „Portretu z magnolią”, studiując dokumenty poświęcone tej roślinie nawet ze średniowiecza. Przypomina wygląd matki – kobiety, która właśnie uciekła ze Lwowa, oraz obraz nędzy, który kroczył za nią. Powojenne uruchomienie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ruchy emigrantów po upadku Powstania Warszawskiego, kandydatów na studia poszukujących własnego lokum w Krakowie. Pomoc rodzicom w postaci paczek dla dzieci, zarabianie na własne utrzymanie. Refleksja nad sensem osobistych marzeń, np. o pracy i studiach, podróż do Gdańska, spacer po plaży, obronę pracy habilitacyjnej, świętowanie niedzieli. Przypomina również okres stanu wojennego, towarzyszący mu kolejny nawrót biedy, ubiory matki z tego okresu, obecność w domu świeżych kwiatów i wreszcie przygotowywanie się do nieuchronnej śmierci. I to tyle, a resztę można przeczytać w tej refleksyjnej i ciekawej książce wspomnieniowej.

Warto również przeczytać bardzo interesujące posłowie autorstwa prof. Bolesława Faron, który wbudowuje tę książkę w dzieje naszej literatury rodzimej i ukazuje jej całość tematyczną w kontekście całościowym, jako kontynuacja tego, co w niej było naganne i to co warto dalej kontynuować. W posłowie, omawiając zawartość tej B. Faron napisał: „W toku lektury poszczególnych tekstów zastanawiałem się, jak określić styl tych wypowiedzi. Otóż, kiedy przed laty recenzowałem wspomnienia Antoniego Dziadkowiaka tycające jego pracy jako kardiochirurga, zatytułowałem mój szkic *Chirurgiczny styl pisania*.

Wprawdzie autorka *Malowanej mgły* nie jest chirurgiem, to jednak bardzo oszczędnie gospodaruje słowem, powściąga emocje, nie stosuje barokowych czy nowoczesnych uduziwień w konstrukcji narracji. Jest w tym coś z „chirurgicznego stylu pisania”.

prof. Ignacy S. Fiut



Anna Pituch-Noworolska, *Malowanie mgły*. Redakcja: Danuta Sułkowska. Posłowie: Bolesław Faron. Fotografia na I stronie okładki: Mieczysław Wieliczko. Wydawca: Unia Polskich Pisarzy Lekarzy, Kraków 2023, s. 196.

Sen jawą wyśniony

Czas zatrzymał wskazówki zegara...

To stwierdzenie płynące poetycką nutą, wybrzmiewa zaskoczeniem, być może przewrotnością, jednak niesie ono czytelnika w krainę wierszy – miniatur, które poetka **Anna Elżbieta Zalewska**, ukryła skrzętnie w swej książce poetyckiej pt. „Pod powieką dnia”. Przywołany na wstępie fragment jednego z wierszy, zdecydowanie prowokuje do refleksji nad przemijaniem, które nieuchronne, całkowicie niezależne, bezwzględne, dla różnorodnych sytuacji życiowych, klasyfikowanych w odpowiednich przedziałach charakterystycznych dla: dobra, zła, radości, smutku, euforii i cichej zadumy, która z upływem czasu, także odpływa w zapomnienie. Unieruchomione wskazówki zegara, nie dają żadnej gwarancji

na powstrzymanie przemijania, jednak przywołana metafora, nabiera znaczenia symbolicznego, oddaje samoistne pragnienie zmierzające do utrwalenia tego, co najpiękniejsze, zapisane przeżyciem, które jawi się ponadczasowości. Twórczość jaką odnajdujemy w zbiorze wierszy A.E. Zalewskiej, artykułowana zwięzłą formą poetycką, bez reszty wpisuje się w kanon mowy wiązanej, jaką z definicji winna być poezja. Autorka w sposób głęboko przemyślany, poskramia zbudną narrację, ucieka przed lawiną słów, by w miniaturach swego wiersza przedstawić osobisty stosunek do otaczającego nas świata, przeżywania miłości, ważnych zdarzeń, które pozostały często na dnie duszy wspomnieniem broniącym się przed odejściem w niebyt. Wnikając w klimaty wierszy Autorki, łatwo dostrzec, iż swą tematyką oscylują między przeżywaniem tego, co za nami oraz tego, co za chwilę pojawi się z kolejnym kurantem zegara. Jedna strona, to żal za tym, co odeszło z kręgu szczęścia, druga, to zadowolenie z wyciszenia tego, co zostało zapisane smutkiem na tragicznej kartce życia. Autorka, w małych formach poetyckich, kreśli rozległy pejzaż doznań, prowokując czytelnika do głębszych, analitycznych rozważań nad przemijaniem, jednocześnie odkrywa perspektywę wiary w szczęście jutrzejszego dnia. W wydanym zbiorze utworów, odnajdujemy wiele wierszy dedykowanych osobom, które na kartach pamięci Autorki, pozostawiły trwałe ślady, do których poetka wraca swymi wspomnieniami.

Wiersz poświęcony rodzicom, wpisuje czytelnika w dramaturgię kresu życia, zamkniętą poetycko w nawiasie kontrastu – „mój stary zegar / odmierza godziny beztroskiego dzieciństwa / dźwięki wahadła niczym mantra / poranny śpiew matki / kiedy ranne... / ojciec pochylony nad książką / słychać ciche tykanie //”.

Jak łatwo zauważyć, w wierszu znajdujemy zderzenie dwóch światów: pulsującego pamięcią przeszłości, zapisanego wspomnieniem i świata nieuchronnego jutra, gdyż tykający niezmordowanie zegar, wytrwale wyznacza wektory przemijania.

Zbliżając się wierszem do tematyki sacrum, poetka w sposób sugestywny, zaprawiony specyficzną filozofią kreuującą przetrwanie miłości, pożądania, wzajemnych relacji zachodzących nieskończenie między ludźmi, odsłania ideę ciągłej podróży, która życiu nadaje jakże ważny sens.

Można zapytać wprost: Czy Autorka w miniaturze słowa kreśli konstatację przetrwania ludzkiego bytowania na tym ziemskim padole? Utwór niesie przesłanie, które w jakże tajemniczy sposób wzbogaca naszą wiedzę o zagadnienie, które lapidarnym nurtem wpływa poza horyzont biblijnych przekazów. Dzieje się to w wierszu gloryfikującym tę zakamuflowaną ideę – „podaję ci jabłko / jak Ewa w Edenie / zostały pestki //”. Ta eksponowana scena narodzin grzechu pierworodnego, w konsekwencji staje się załącznikiem do rozmyślań biegnących w kierunku pestek owocu. Pozostały – by przyczynić się do narodzin nowych drzew, które swymi owocami,

(Dokończenie na stronie 18)

Sen jawą wyśniony

(Dokończenie ze strony 17)

symbolicznie zapewnią to, co w rozważaniach dalekosiężnych, można odnieść do gwarancji zapewnienia ciągłości ludzkiego gatunku. Ekspozowana syntezą słowa sytuacja narodzin pożądania, sankcjonowana grzechem pierworodnym, zostaje postawiona w świetle jakże aktualnym w odniesieniu do dzisiejszej rzeczywistości, tak bardzo głodnej uczuć wyższych, zdejmowanych z półek: miłości, empatii, wybaczenia... To właśnie te uczucia, bez reszty zostały wpisane w nasze życie, dając jednostce szansę ustawicznego wzbogacania świata, który w obecnej dobie, tak bardzo potrzebuje miłości, tolerancji i wybaczenia. Analizując omawianą sytuację w kontekście „naprawiania świata”, nie sposób przejść obojętnie obok wiersza – „miłość codzienna / z podaniem dłoni w chwilach zagubienia / dotykaniem motyla / w płatkach kwiatów / w rytmach / dnia i nocy //”. Odniesienie zjawisk przyrody do uczucia, nie stanowi nowatorskich dokonań, jednak postawienie zdecydowanego akcentu na „codzienna”, to manifest, który wybrzmiewa wołaniem o poszanowanie wartości, które dzisiaj i jutro, winny trwać na piedestale zdrowej wyobraźni, gwarantującej złego czasu pokonanie i wicie nowych gniazd dla zdarzeń, które władczo ogarną przestrzeżenie wiary w lepszy świat. Zderzając niniejsze refleksje z przesłaniem wiersza „Teatr” – „świat / bez kataklizmów / oglądany z ekranu / wszędzie cisza / wszędzie mgła / iluzja” – rodzi się pytanie: Czy istnieje szansa na pojawienie się takiego świata, w którym pojęcie „iluzja” bezpowrotnie utraci swój sens?

Wiersze Anny Elżbiety Zalewskiej, gloryfikują rolę pamięci broniącej się przed nieuchronnym upływem czasu, tej pamięci, która z niezbadaną mocą unosi czytelnika w przyszłość, kreślona zdecydowaną linią wiary w lepszy świat, budowany na zrębach nadziei, której nie unicestwią wskazówki zatrzymanego zegara.

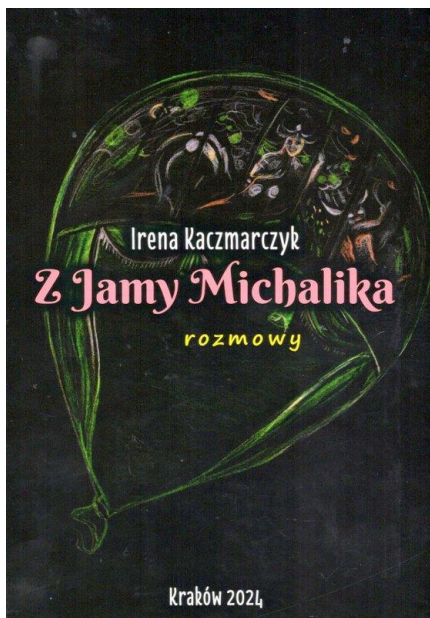
Zygmunt Dekiert

Anna Elżbieta Zalewska, *Pod powieką dnia*. Przedślowie: Jerzy Grupiński. Rysunki: Maria Magdalena Poczaj. Wydawnictwo Literackie ATENA, Poznań 2023, s. 60.



Owad zamknięty w bursztynie

Rozmowy Ireny Kaczmarczyk o poezji, literaturze, filozofii, medycynie, piosenkach, kabarecie, nieuchwytnym genius loci legendarnej młodopolskiej kawiarni, ale także na planie szerszym o dziedzictwie materialnym i niematerialnym Krakowa są wielogłosowe. To rozmowy rozwidłone, palimpsestowe, gęste od odniesień, a także historia Krakowa. Wśród rozmówców są ludzie, którzy o to miejsce się otarli, którzy z Krakowem są związani przez większość życia i tych, co do niego wracają z dalekiej zagranicy. Irena Kaczmarczyk z serdecznością i autentyczną ciekawością otwiera swych interlokutorów, podsuwa wspomnienia i tropy, wiąże rozmowy swoich gości, także ze sobą nawzajem. Powstaje doskonale utkany gobelin przyczyn i skutków, zapis olśnień i obraz „ostatniego świata na obłoku”.

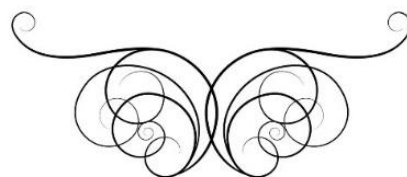


Rozmowy toczą się w Jamie Michalika, legendarnej kawiarni Krakowa, szmaragdowej piramidzie, wśród secesyjnych mebli z zielonymi obiciami, witraży, odrzwi i ram w kształcie konarów, doświetlonych mosiężnymi kinkietami i lampami w kolorowych abażurach. W hermetycznej komnacie doświetlonej kryształową lampą z koroną, autorka i rozmówczyni wyciąga z opowieści swoich gości rozmaite barwne historie. Zaprasza do wspólnego magicznego królestwa. Choć ponad wiek temu Jama była miejscem tętniącym życiem, miejscem kształtowania się nowoczesnych idei i matecznikiem młodopolskiej bohemy dziś jest zaledwie miejscem odwiedzanym przez szkolne wycieczki i paru latarników dawnej literackiej przeszłości. A przecież było to miejsce paradoksów, kabaretowej zgrywy, centrum kulturalne Krakowa, miejsce słynnych satyrycznych szopek i balów, żartów Boyów i Witkiewiczów, Modrzejewskiej, Pod-

kowińskiego, Żeleńskiego, Kisielewskiego czy Mehoffera. Gdzieś pod ścianami musiał stać Wyspiański wpatrując się w popisy kolegów po piórze.

Choć i obecnie w Jamie Michalika odbywają się wieczory autorskie, biesiady literackie i koncerty muzyki kameralnej – miejsce jest raczej zastępy w bursztynie pięknym owadem, unieruchomionym w swojej sławie i w swoim upadku. To wygasły wulkan, ukryty gdzieś pomiędzy tanimi pamiątkami i restauracjami fast food przy sturystyfikowanej Floriańskiej. Jest miejscem z dawnego świata, miejscem nostalgii i tęsknoty do czasu, w którym w kawiarniach powstawała największa literatura i teatr naszego miasta. Ale jednak Kaczmarczyk udaje się wyzwolić ducha tego miejsca. Opowieść o Jamie jest tylko koniecznym kontekstem, aby wychodzić szeroko i daleko do miejsc, które są poniekąd emanacją michalikowej atmosfery: Piwnicy pod Baranami, Zwisu, Camelota... Udaje jej się wskrzesić atmosferę rozpalającej rozmowy, wynikającej z eterycznej atmosfery, pełnej odległych skojarzeń. Wspólnie ze swoimi rozmówcami, „podkarmia wenę”, podsyca wyobraźnię, skłania do wynurzeń. W tym sensie iskrą błyskotliwej riposty podpała wygasłe wulkany, pokazując, że tli się w nich nie tylko legenda, ale także to, że miejsce ma swoich wyznawców i stróżów: Józef Baran, Monique Bronner, Andrzej Dębowski, Bogdan Dmowski, Agnieszka Grochowicz, Ignacy Fiut, Halina Anilah, Bolesław Faron, Piotr Laidler, Waldemar Hładki, Jadwiga Malina, Andrzej Sikorowski, Agnieszka Staniszevska-Mól, i in. To jak rozniecanie żaru w wygasłych murach, które były świadkami największych porywów młodopolskiej egzaltacji, wśród secesyjnych dzieł, autolitografii, malowideł ściennych autorstwa różnych artystów, rysunków Karola Frycza i karykatur Kazimierza Sichulskiego. Kaczmarczyk dotyka właściwych strun, prowokuje do wynurzeń, refleksów i wspomnień – poprzez filtr własnych przeżyć zaprasza do zmierzenia się z duchem miejsca – i szerzej – z Krakowem. I nagle okazuje się, że Jama Michalika żyje w tych opowieściach. Miała dla wielu rozmówców Kaczmarczyk znaczenie formujące, zdecydowała o wyborze miasta jako miejsca do życia, miała wpływ na wybór drogi poetyckiej, teatralnej, czy poszukiwania własnej osobnej drogi muzycznych bardów. Wszyscy są w tych opowieściach z duchami Jamy Michalika – w czułym kontakcie. Książkę przeczytać można po kolei, partiami, naprzemiennie, albo w całości. Otrzymujemy głos inteligentnego Krakowa, w którym ciągłość i zaplatanie się tworzy opowieść gobelinową, a zaklęta w bursztynie tajemnica Jamy Michalika uwalnia się w czulej rozmowie.

Robert Piaskowski



Janusz Orlikowski

Dlaczego – nie?

„Jakże to się stanie, skoro nie znam męża” – pyta archanioła Gabriela Maria, późniejsza matka Jezusa w doskonale znanej scenie z ewangelii Łukasza. Skoro pojawia się to pytanie, dla niej jest to niemożliwe. Nie współżyła przecież z Józefem. A tu nagle pojawia się na jawie anioł i oznajmia taką niezwykłość.

Warto zwrócić uwagę, że Maria nie jest zaskoczona tym, że to właśnie ona stanie się matką wcielonego Boga, ale że będzie nią pomimo, że nie współżyła seksualnie. Jest to dla niej rzecz nie do pojęcia. I to właśnie jest najbardziej istotne. Jakże ona może być w ciąży? To dla niej rzecz całkowicie pozbawiona racji bytu. I tu pojawia się ze strony Gabriela informacja, że stanie się tak za sprawą Ducha Świętego.

Można stąd wysnuć wniosek, że „(...) według poglądów Marii Boże synostwo Jezusa i naturalne synostwo Jezusa nie wykluczają się. Dla Marii jedno bez drugiego jest raczej niemożliwe” – jak pisze Uta Ranke-Heinemann w książce *Nie i amen* w eseju *Matka – dziewica*. Dla Marii jest jasne, aby być zapłodnioną do tego potrzeba mężczyzny. Stąd jej zdziwienie i zwykły brak wiary, by to było możliwe. Ona nie kwestionuje tego, że stanie się matką Boga, ale to, że zadzieje się to bez męskiego udziału. Łukasz i Mateusz twierdzą jednak inaczej. I o ile ten pierwszy jeszcze informował matkę Jezusa o działaniu Ducha Świętego, to ten drugi już nie. Wystarczyło mu, że ów anioł przekazał tę wiadomość Józefowi i to do tego we śnie. W nim bowiem, według tej ewangelii, pojawia się Gabriel informujący go o tym. Nawet Maria tego nie wiedziała, a wiedział już Józef. Poza tym pozostałe dwie kanoniczne ewangelie nic o dziewiczym poczęciu nie piszą, zarówno w najwcześniejszej Marka, jak i ostatniej pod względem chronologicznym Jana, która notabene jest najbardziej, by tak rzec, literacka i tu by można się takich rewelacji raczej spodziewać. No i jeszcze w listach Paweł wspomina tylko o poczęciu z niewiasty, nie dziewicy.

Zapis w ewangelii Łukasza, ta barwna opowieść, najbardziej przyłgnęła do wyobrażeń pierwszych ojców Kościoła. Ale dlaczego?

Jak sprawnie zauważa Uta Ranke-Heinemann „Łukasza i Mateusza idea narodzenia z dziewicy jest, (...) znacznie głębsza. Pragnie się w niej przedstawić Boga jako jedyne i suwerennie działającego, jako Stwórcę. Poczęcie Jezusa pod żadnym względem nie miał towarzyszyć ludzki udział; szło nie tylko o brak męskiego w nim udziału, ale w ogóle ludzkiego. Stworzenie Jezusa miało być całkowicie i wyłącznie boskim aktem stworzenia, porównywalnym ze stworzeniem Adama z prochu ziemi.” To właśnie to, ten sposób myślenia, doskonale przyłgnął do pierwszych ojców Kościoła. Już nie ważne było, że Maria poddała pod wątpliwość, iż skoro nie zna męża jest to niemożliwe. Myślenie Mateusza i

Łukasza było inne. Nie chrześcijańskie, a zaczerpnięte z greckiego pogaństwa. To tam, by nadać danej osobie status szczególnie obdarowywano ją nie ziemskim pochodzeniem. I tak na przykład o Platonie w Atenach mówiono, ba było takie przeświadczenie, że był on synem boga Apolla i że do narodzin owego filozofa jego ojciec, Aryston, nie współżył ze swoją małżonką Periktionem. Podobnie mówiono też o Józefie, ojcu Jezusa. Innych przykładów z greckiej, starożytnej historii, mitologii jest sporo. Nie mam zamiaru tu wymieniać jaka ważna postać była synem Zeusa, czy innego boga, ale na zależność tą warto zwrócić uwagę.

Zatem według ówczesnego klimatu ważne było, aby taka postać jak Jezus miała, by tak rzec, boskie pochodzenie. Tym pogańskim klimatem byli prześlągnięci autorzy ewangelii Mateusza, a przede wszystkim Łukasza. A przecież, według religii chrześcijańskiej, On Bogiem jest. Zatem zupełnie niepotrzebnie pojawiają się u tych ewangelistów te bajkowe opowieści.



Rys. Stefan Rusin

Tym niemniej trzeba zwrócić uwagę na fakt, jak wówczas widziano „sytuację” zapłodnienia kobiety. Była ona traktowana, zgodnie z Arystotelesa koncepcją, jako swego rodzaju naczynie, tzn. jej wagina, a tylko dzięki nasieniu mężczyzny była ciąża i w rezultacie pojawiał się nowy człowiek. Święty Justyn na przykład, chcąc uzmysłowić, by tak rzec, definicję wiary, mówił mniej więcej tak: gdybyś nie wiedział, że z czegoś takiego jak męskie nasienie rodzi się człowiek, to byś w to uwierzył? Przeświadczenie o tym, że to tylko ono jest powodem narodzin było powszechne i to do drugiej połowy dziewiętnastego wieku.

Jeszcze dygresja: mam wrażenie, że Mateusz i Łukasz nie do końca uwierzyli, że Jezus był Bogiem. Stąd potrzeba im było stworzenie tych bajkowych opowieści. Albo – chcieli jeszcze bardziej przypieczętować to, że Jezus był nim w rzeczywistości. Jak wiadomo, lepsze jest zawsze wrogiem dobrego.

Co zdarzyło się w drugiej połowie dziewiętnastego wieku? Otóż w 1827 roku K.E. Von Baera odkrył, że kobieca wagina nie jest tylko miejscem, gdzie pod wpływem męskiego nasienia w konsekwencji rodzi się człowiek, lecz jest tam żeńskie jajo i to ono musi być przez nasienie zapłodnione, aby takowy powstał. Nie wystarczy samo nasienie, ono musi znaleźć drogę do wspomnianego jaja. Stąd prosty wniosek, udział jest w połowie mężczyzny i w połowie kobiety.

Czy z uwagi na to naukowe odkrycie dogmat o dziewiczym poczęciu spala na panewce? Mamy tu do czynienia z nową sytuacją. Wcześniej Kościół katolicki twierdził, że bez udziału mężczyzny tzn. Józefa Maria stała się brzemienna. Po odkryciu kobiecego jaja – nadal tak twierdzi. Czy przeczy faktom? Uta Ranke-Heinemann twierdzi, że tak. Mam co do tego wątpliwości. Przecież tak jak nie konieczne było męskie nasienie w dziewiczym poczęciu wtedy, tak i po tym odkryciu raz, że nie jest konieczne, tak i nic nie stoi na przeszkodzie, aby uznać, że pomimo jego braku, jajo zostało zapłodnione, a Maria pozostaje dziewicą. W obydwu przypadkach, by tak rzec, udział cudu jest taki sam. Ale Uta Ranke-Heinemann w cuda nie wierzy, ale to już jest rzecz inna.

Moim zdaniem problem z dziewiczym poczęciem tkwi zupełnie gdzie indziej. Zawiera się on w prostym pytaniu, które postawiłem już w eseju pod pierwotnym tytułem *Dziewictwo Marii*, który pojawił się w *Akancie*, a pod zmienionym *Coś złego?* w książce *Gwałt na prawdzie*. Pytanie brzmi: czyby stosunek seksualny był czymś złym? Według wciąż pokutującym przeświadczeniem i według tak pojmowanej religii chrześcijańskiej, tak. Pierwsi ojcowie Kościoła bardzo szybko podchwycili bajkową opowieść Łukasza, jako znakomitą platformę do propagowania tego typu insynuacji. Zauważyli w niej znakomity sposób na tworzenie, tak trzeba to powiedzieć, kreowania własnej władzy. Zgodnie ze starą zasadą: jeśli zawładniesz nad pierwotnymi instynktami człowieka, zawładniesz nim samym. Obarczenie stosunku seksualnego takim brzemieniem było dla nich trafieniem w punkt. Być może i niektórzy sami w to wierzyli. Tak, czy inaczej, bzdurna „prawda” o nieczystości fizycznego kontaktu między kobietą i mężczyzną na długo pokutowała w ludzkiej, chrześcijańskiej świadomości. A gwoździem do trumny seksualnej przyjemności stały się wkrótce poglądy pierwszego ojca Kościoła, Augustyna. Bywa, że i teraz ten pogląd pokutuje. Nie? A proszę zwrócić uwagę, że do dziś i pewnie później mówiąc niby żartem o grzechu ma się na myśli nie pobicie kogoś, zabójstwo, czy kradzież, a właśnie współżycie seksualne. Czyż nie? Jak głęboko zakorzenili w nas ojcowie Kościoła owo cudowne przecież w istocie przeżycie.

Wciąż dziewiczność Marii jest kultywowana. Dziewiczność pojmowana jako niedoścignęły wzorzec. Czyli ona jest niedoścignym dobrem, a stosunek seksualny z mężczyzną, jakby nie spojrzeć – koniecznym złem.

(Dokończenie na stronie 20)

Dlaczego – nie?

(Dokończenie ze strony 19)

Nie widzę innych rozwiązań. Ale stąd też jest wniosek, że takim „koniecznym złem” było zapłodnienie jaja Marii, matki Boga. Jak to: Bóg zdobył się na zło, aby pojawił się Jego syn, Jezus. Nie ma takiej możliwości, aby Maria w momencie poczęcia Jezusa była dziewicą. Chyba żeby tylko Duch Święty miał prawo do takiego zła, że pozwolę sobie na odrobinę ironii. I tu pomnę kwestię cudu.

Zatem dziewiczość Marii w żaden sposób się nie broni i nie ma nic bardziej wartego uwagi, niż odkrywanie prawdy. I tym samym ujawnianie prawdziwych motywów jej, powiedzmy to tak, nie przyjmowania do wiadomości. Gdyby Kościół tę prawdę chciał przyjąć, by utracił w jego mniemaniu władzę nad ludzkimi duszami. Broni się zatem choćby poprzez swój sprzeciw wobec antykoncepcji. Wie doskonale, że w ten sposób nie broni życia nienarodzonych, a uprzykrza życie seksualne małżonków. Zadaje cios ich wzajemnej cielesności, przyjemności, która ona niesie i scala ich związek. Chyba, że komuś wszystko jedno ile ma dzieci. Poza tym Kościół by musiał dokonać zmian w swoim Credo, gdzie o dziewiczości Marii mowa. Ono musi być takie, aby każdy mógł je bez zmruczenia oka wypowiadać. Czyżby zależało mu na tym, aby zgodnie były klepane pacierze. Można powiedzieć: dlaczego – nie? Dlaczego nie, skoro na szali jest panowanie nad tym, co dla każdego człowieka jest bardzo istotne, udane życie seksualne. Nie ma lepszego sposobu panowania nad jego duchowością, nad nim, chociaż udaje że to nie tak. Przykre, prawdziwe.

Janusz Orlikowski



Kalina Izabela Zioła

Cień

na różowej zasłonie w motyle
pozostał twój cień

siedzi przygarbiony
obgryza paznokcie i stukta
w niewidzialne klawisze komputera
czeka na ciebie

może powinienam
zmienić zasłony
żeby nie czekał nadaremnie

Jak Ikar

otulona bezpiecznym kokonem
czułych słów i obietnic
uwierzyłam że jestem wyjątkowa
że jak motyl mogę wlecieć ku słońcu
zatańczyć
więc polecałam

twój oddech rozwiewał mi włosy
dotykałam wszystkich kolorów tęczy
tańczyłam w złotych promieniach
i jak Ikar zapomniałam że nie wolno
bezkarnie zbliżać się do słońca

poszybowałam nagle w dół
upadek zabolął
już nigdy tak nie zatańczyę
mam złamane skrzydło

a może serce

Przestrzeń i czas

kiedy rano wysyłam słoneczne dzień dobry
na twojej ulicy księżyc zagląda do okien
zapalają się latarnie
i noc jak czarny kot kuli się w zaułku

gdy zasypiając piszę ciche senne dobranoc
w twoich szybach przegląda się słońce
ptaki w gałęziach drzew rozpoczynają
głośny koncert i wokół budzi się miasto

u ciebie jeszcze dojrzewa lato
u mnie złoci się jesień

tak nam do siebie daleko dzielą nas
tysiące kilometrów inny język i czas

można nauczyć się języka
można przemierzyć każdą odległość
lecz jak pokonać czas?

Tajemnice błękitnej pełni

pierwsza była szalona namiętna
nieokiełznana
pełna gorących nocy i kolorowych dni
zaplątana w podwiązki koronkowe gorsety
lalki wudu supełki i piosenki Cohena
rozsypała się w końcu jak popiół

druga była rozsądna dostoja pięknie
złocona

pełna słów kwiatów przysięg
i ukrywanych kłamstw
z pozoru idealna w środku brzydka i brudna
wyrzuciłam ją wreszcie na śmietnik

trzecia jest jak iluzja przedziwna pełna
tajemnic
jak spełnione marzenie lub zapomniany sen
twarz jak ze starych płócien poezja w
każdym liście
długie bezsenne noce obietnic cichy szept
może zostanie ze mną na zawsze

Obietnice

obietnicz mi miłość
w wierszach i pięknych słowach
piszesz płomienne listy
przelewasz na papier tęsknotę
i swoje oczekiwanie
zapalasz mi nocą księżyc
usypiasz gwiazdy a późnym rankiem
przynosisz słońce w kieszeni

lecz jak wierzyć twym słowom
gdy jesteś tylko cieniem
obietnicz mi miłość a ja
nie znam nawet dotyku twoich rąk

Spełnione obietnice

niebo zapłonęło
noc oderwała z sukni
wszystkie cekiny gwiazd
obsypała nimi ziemię

zapadła świetlista cisza
zegary zatrzymały się
przestały odmierzać
sekundy i oddechy

coraz bliżej twoje oczy
ciemne od grzechu
i miłości

wzeszła błękitna pełnia

Błękitna pełnia

promień słońca odbity od błękitu
księżycowej pełni lub cienia
który przysiadł na złoczonej ramie
to wszystko

nie brak mi słów
lecz jak opisać tęsknotę za czymś
co ukryłam w najgłębszej szufladzie
o czym prawie zapomniałam

cicho podpełzają dawno wyblakłe sny
budzą się niespokojne myśli
- a może to tylko błysk
słonecznego światła drży
na złoczonej ramie

Wyspy

ze spienionych fal wynurzają się
ostre wierzchołki skał
obmywane falami
trwają niewzruszenie

na nich czasami
podczas błękitnej pełni
siadają syreny i śpiewają...



Filozofia codziennosci prof. Marii Szyszkowskiej (217)



Fot. Andrzej Dębkowski

Współczesnemu pokoleniu powinna przyświecać idea stworzenia globalnego społeczeństwa, w którym – w odległej zapewne przyszłości – zostaną przewyciężone podziały na rasy, narody, religie, partie polityczne, płeć, skłonności seksualne. Można mieć nadzieję, że na naszej planecie zaprzestane zostaną wojny. Wiek XXI i kolejne zależą od stanu naszej świadomości. Obecnie idea zjednoczonego świata w nieporównanie mniejszym stopniu porusza sferę emocjonalną jednostek niż na przykład nacjonalizm. **Epoka globalizacji, ta w której żyjemy, odbiega znacznie od ideałów, które miały ją wyznaczać. Nasza epoka nie dorasta do idei globalizacji, którą sformułowali w starożytności stoicy głosząc powszechne braterstwo i płynący z niego zakaz prowadzenia wojen. Podkreślali, że człowiek jest częścią całej Ludzkości oraz częścią Kosmosu. Tę ideę globalizmu wyraził następnie Kant w XVIII wieku w formule imperatywu praktycznego: „Postępuj tak, byś człowieczeństwa tak w swej osobie, jako też w osobie każdego innego, używał zawsze zarazem jako celu, nigdy tylko jako środka”. Kant podkreślił, że człowiek jest wartością fundamentalną i nawet Bóg, o ile istnieje, nie mógłby traktować człowieka jako środka do celu, choćby wzniósł go.**

Idea globalizacji zrodzona przez stoików i rozwinięta przez Kanta, ujmuje człowieka jako wartość najwyższą.

Wyklucza prowadzenie jakiegokolwiek wojny. Jak wyjaśniał Kant, w czasie wojny człowiek jest sprowadzony do roli środka, bowiem celem każdej wojny jest zwycięstwo, pokonanie przeciwnika. Idea ta wiąże się także z ekologią, skoro każdy z nas jest częścią świata przyrody i całego Kosmosu.

Egzystencjalizm Heideggera i Sartre'a ugruntował w XX wieku ideę globalizacji wskazując, że człowiek powinien czuć się odpowiedzialny w każdym akcie dokonywanego wyboru za całą ludzkość. Mianowicie, niestannie, codziennie, dokonujemy wyborów między albo – albo. Dotyczą one spraw istotnych, ale również z pozoru błahych, ale wpływających na nasze istnienie. Człowiek dokonując wyboru powinien myślowo angażować całą ludzkość. To znaczy dokonany przez

kogoś wybór jest prawdziwy, moralny, jeżeli on traktuje go jako wzór postępowania dla każdego człowieka, całej ludzkości.

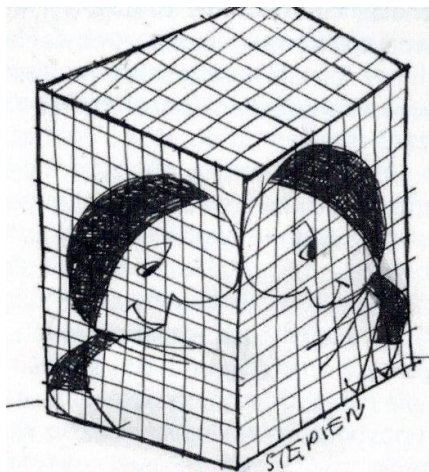
Ideę globalnego społeczeństwa, w którym zostaną przewyciężone podziały ludzi na rasy, narody, religie, partie polityczne, płeć, sformułowali twórcy prądu kulturowego New Age. Zespolenie ludzkości będzie zarazem początkiem światowego pokoju.

Ujmując syntetycznie, idea globalizacji powiązana jest – niezależnie od odmian – z powszechnym braterstwem, pokojem i szcunkiem dla świata przyrody. Dalecy jesteśmy od urzeczywistnienia idei globalizacji, bowiem nie ustają wojny, nasilają się konflikty, człowiek określany jest, niestety zasadnie, jako istota śmiecząca, niszcząca środowisko w którym żyje.

Do dobrego tonu należy aprobata dla pokoju. Ale opinia społeczeństw w swych osądach nie jest sprawiedliwa.

Niektóre państwa prowadząc wojny sprytnie nazywają je niesieniem pokoju lub demokracją unikając międzynarodowego oburzenia.

W kulturze europejskiej, mającej korzenie w filozofii starożytnej Grecji i zasadach prawnych sformułowanych w starożytnym Rzymie, funkcjonuje pojęcie miłości bliźniego. Ta chrześcijańska koncepcja relacji człowiek-człowiek jest późniejsza od głoszonej przez stoików idei powszechnego braterstwa. Być może świadomość, że jednym z dziesięciu przykazań jest zakaz zabijania, chętnie zafaszuje się zgodę na wojny tworząc dziwne pojęcia w rodzaju: pacyfizm umiarkowany, czy pacyfizm radykalny. Przeciwnieństwo jest wyraźne: albo pokój, albo zagłada.



Rys. Jan Stępień

Filozofowie chrześcijańscy są począwszy od św. Augustyna zwolennikami wojen słusznych, czyli sprawiedliwych. Tak nazwał ten filozof wojny obronne i wojny religijne i ten pogląd funkcjonuje do dnia dzisiejszego. Jedynie małe liczebnie wyznania chrześcijańskie kategorycznie odmawiają udziału w wojnach. Na przykład Świadkowie Jehowy za czasów Hitlera byli wtrąceni do obozów koncentracyjnych za odmowę wzięcia broni do ręki. Ocenia się często pacyfizm jako ideę utopijną, ale tej oceny nie odnosi się do miłości bliźniego, mimo, że od tak wielu pokoleń nie została

urzeczywistniona.

Paradoks w poglądach antypacyfistów zawiera się w tym, że wyrażając zgodę na zabijanie na wojnie, są z reguły przeciwnikami przerywania ciąży, jak również prawa do eutanazji. Wyrażają więc większą troskę o tych, którzy się jeszcze nie urodzili niż o tych, którzy żyją.

Pojęciem wewnętrznie sprzecznym jest „walka o pokój”. Należy zaszcześcić wartość pokoju w skali powszechnej i w tym duchu wychowywać kolejne pokolenia. Dokąd będą istnieć koncerny zbrojeniowe, odzieżowe szykujące mundury dla wojska, spożywcze produkujące żywność dla żołnierzy i koncerny farmaceutyczne zainteresowane głównie zyskiem, a przynosi go wojna – tak długo nie można oczekiwać pokoju na naszej planecie. Należałoby domagać się w bliskiej przyszłości zamknięcia fabryk produkujących śmiercionośne narzędzia. Deklaracje praw człowieka nie wpływają na rzeczywistość.

Kształt świata zależy od świadomości i charakteru jednostek. Niestety, pacyfiści nie są dopuszczani do mediów, które manipulując świadomością wywołują zgodę na wojny, zwłaszcza gdy toczą się daleko od nas.

Pacyfizm jest zespolony z uznaniem bezwzględnej wartości życia człowieka. Zresztą instynkt samozachowawczy jest w nas najsilniejszy. Należy wreszcie uznać wojny za postać patologii. Zwolennikom wojny brakuje głębszej refleksji nad wartością istnienia i zapewne charakteryzują się brakiem wrażliwości i rozwiniętej wyobraźni, bowiem traktują jako naturalne zabijanie współbraci, a wszyscy tworzymy ludzkość.

Istnieniu człowieka, a także narodów, towarzyszą cierpienia. Poczucie krzywdy dochodzi często do głosu. Możliwe są dwie skrajne postawy: przebaczenie albo budowanie w sobie nienawiści połączonej z chęcią zemsty. Wszelkie moralizowanie jest tu zawodne i traci sens. Dodam, że przebaczenie, to nie znaczy usprawiedliwianie, lecz w imię harmonii wewnętrznej, wyrzucanie z pamięci tego, co wywołało cierpienie.

Znam osoby, które czerpią ogromną siłę psychiczną z nieprzejednanego stosunku do tych, którzy wyrządzili im krzywdę. Czasem dochodzi do pojednania między bliskimi sobie osobami dopiero na łożu śmierci. Westerny przybliżają postacie bohaterów pragnących zemsty za doznane przejawy niesprawiedliwości. Poczucie honoru nie pozwala im wybaczać. Zemsta ma przywrócić porządek w świecie. Dzieje się jeszcze gorzej, gdy jakieś państwo chce wprowadzać do innego swoje rozwiązania ustrojowe uznając je za lepsze. Wciąż utrzymuje się w naszej kulturze niepokojący w skutkach pogląd, że kultury wyrosłe na innych kontynentach są gorsze od europejskiej.

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(62)

25 kwietnia 2020

Po 2 tygodniach ustąpiło lumbago, z którym zmagalem się od świąt wielkanocnych. Po raz pierwszy wstałem rano bez bólu.

Polemika w sprawie wyborów majowych między rządzącymi i opozycją nadal trwa. Gospodarka powoli stacza się w dół. Ale protestów na razie nie ma. Tylko w miejscowościach nadgranicznych z Niemcami, gdyż wielu Polaków pracuje w Niemczech a mieszka w Polsce. Niemcy powoli znoszą restrykcje związane z pandemią, a u nas nadal obowiązują. Przez to utrudniony jest kontakt z bliskimi, gdyż żąda się od nich, pracujących w Niemczech, odbywania kwarantanny. W nadgranicznych miejscowościach doszło już do starć z polską policją. Myślę, że to dopiero początek protestów. Ulica zachowuje się jeszcze w sposób zdyscyplinowany. Ale kiedy przyjdzie czas podwyżek, inflacja i wielu ludziom nie będzie starczało na życie, obawiam się o najgorsze. Zdaje się, że rząd jeszcze nie dostrzeżenie na ścianie napisu, jaki się pojawił na uczcie Baltazara: mane, tekell, fares. Ja już go widzę.

26 kwietnia 2020

Wstałem o 5.30, ale nie zostałem obudzony przez ból wywołany przez lumbago, ale dlatego że się już wyspałem. Będę jeszcze dziś zażywał lekarstwa z nadzieją, że wkrótce je znów odstawię. Niestety, ból w prawym udzie nadal czuję. Byliśmy po śniadaniu na spacerze i pewnie bez podpierania się laską, miałbym problemy z chodzeniem. Nie jest to normalne życie, ale na niby. Wczoraj siostra mieszkająca w Łęczycy, która cierpi także na lumbago, mówi mi przez telefon: „Wszyscy mówią, że to od kręgosłupa, ale mnie kręgosłup wcale nie boli, tylko mięśnie nóg”. – „No właśnie o to chodzi – mówię. – Bo w kręgosłupie jest rdzeń, który unerwia cały organizm. Tu nie chodzi o kości, tylko o system nerwowy, który doznał jakiegoś urazu. Na tym to polega” - tłumaczę. – Nie wiem, czy w końcu zrozumiała, czy nie? A przecież była przed 30 laty nauczycielką wufefu, więc powinna się na sprawach neurologicznych choć trochę znać.

27 kwietnia 2020

„Legends Solidarności”, wśród nich Andrzej Gwiazda, zwrócili się z apelem do posłów Porozumienia Jarosława Gowina, by głosowali w Sejmie za korespondencyjnymi wyborami prezydenckimi w maju, bo inaczej – jak mogłem z tego apelu odczytać - „zawali się Polska”, nie będzie kontynuowania wielkich

inwestycji, które mają ją zmodernizować i uczynić nowoczesnym krajem w Europie, a państwo, zarządzane przez PiS, ulegnie destrukcji. Nie wiedziałem, że władza prezydenta jest tak szeroka, że nawet decyduje o inwestycjach. A może po prostu chodzi o ratowanie chwiejącej się już władzy PiS w państwie. Jak z tego można wnioskować, legendy Solidarności czarno widzą swoją przyszłość, PiS-u i prezesa Kaczyńskiego. Larum głoszą, bo czują coś złego nosem. Zobaczymy, czy spełnią się ich czarne czy różowe prorocтва.

28 kwietnia 2020

Niestety, liczba zakażeń ciągle wzrasta, choć nie lawinowo. Czytam na WP.PL wypowiedzi osób, które przybyły ze Szwecji na przykład i negatywnie oceniają restrykcje funkcjonujące podczas pandemii w naszym kraju. Tam, w Skandynawii, opierają się na samodyscyplinie społecznej, pouczaniu i odwoływaniu się do odpowiedzialności ludzi. Jest to – jak widzę - zupełnie inny świat. Tam nawet maseczki nie są obowiązujące. Na przykład u nas w kościele rano było około 10 osób, siedzących na odległych od siebie ławkach. Sami ludzie nawet, gdy przystępują do komunii, starają się być od siebie o kilka metrów. W sklepach też każdy bez sprzeciwu pryska ręce płynem dezynfekującym i zakłada jednorazowe rękawiczki. Można odwoływać się do świadomości ludzi i samodyscypliny? Można! Oczekiwanego deszczu nie ma, za to jest wspaniała, wymarzona pogoda na spacer. Dzieci małe wyległy z matkami przed bloki, bo temperatura w południe wynosiła 23 stopnie w cieniu. Trudno się temu zresztą dziwić. Widać też wałęsającą się wszędzie, w mniejszych lub większych grupach młodzież, lub szalejącą po chodnikach na rowerach. Podobnie było wczoraj. Rodzi się tylko pytanie: czy jest sens, by szkoły stały nadal puste? Ja przynajmniej takiego sensu nie widzę.

29 kwietnia 2020

Od rana jestem w Rzeszowie. Miałem zamówioną wizytę w przychodni urologicznej. Przyjął mnie dr Szczepan P., spóźniony oczywiście o godzinę. Czekałem na niego od 8.30 do 10.00. Nikogo jednak z czekających nie przeprosił. Byłem co prawda pierwszy, ale nie było mojej kartoteki, choć prosiłem o jej wyrobienie w rejestracji aż 3 razy. Zawsze mi odpowiadano, gdy do nich zaglądnąłem, że wyrobili, jak będzie lekarz. I mimo skierowania z onkologii, które zabrałem ze sobą, może by znów mnie nie przyjęto, ale wziąłem ze sobą przez zwykły przypadek ten karteluszek ze stycznia, który mi dano w rejestracji do ręki jako potwierdzenie, że będę przyjęty przez dr. P. 29 kwietnia br. To mnie uratowało, a jego przekonało, że nie zmyślam i nie fantazjuję. I dopiero wtedy wysłano do rejestracji, bym wyrobił sobie kartotekę. A pielęgniarka, asystentka lekarza, siedziała tam od rana i nawet raz nie wyjrzała za drzwi i nie zapytała o kartotekę. A na drzwiach było napisane, że bez

pozwolenia nie należy wchodzić. Więc – jak człowiek kulturalny – grzecznie siedziałem i nie wchodziłem. Okazało się to wielkim błędem. Wynika z tego, że wszędzie trzeba być nachalnym i aroganckim, walczyć o swoje, nie bacząc na żadne napisy. Miałem jednak tego dnia pecha, gdy byłem już załatwiony w rejestracji, przed drzwiami gabinetu stanęła drabina, bo fachowcy od monitoringu coś tam zaczęli robić przy suficie. Łączli pewnie kable do monitoringu. W tym czasie wyszła asystentka i pyta wprost patrząc na korytarz, czy ktoś jest do doktora. „Ja” – odpowiedział jakiś starszy pan, który dopiero co wszedł, ale znalazł się tuż przed drabiną, a więc przed wejściem do gabinetu. A ja, który stanąłem po drugiej stronie, by nie przeszkadzać fachowcom, zostałem w ten sposób zablokowany i „wyjeleniony” po raz enty. Nie chciałem się ze starszym człowiekiem awanturować i tłumaczyć, że byłem wcześniej i jestem pierwszy. Teraz już tylko zależało, jak długo ta rozmowa z lekarzem potrwa. Denerwowałem się okropnie. Rozmowa ze starszym panem trwała w gabinecie prawie pół godziny. A ja chodziłem wściekły po poczekalni, wyrzucając Bogu ducha winnym fachowcom od kabelków, że to przez nich i ich drabinę. Tak naprawdę bałem się, że nie zdążę na busa. Udało się jednak. Doktor mnie przyjął. Na końcu po zapoznaniu się z moimi wynikami z tomografii polecił mi przyjechać 20 maja i zgłosić rano w rejestracji, która skieruje mnie na oddział urologiczny, by wykonać cystoskopię. Ale nic więcej nie powiedział. Co to jest? Na czym to polega? Czy pozostanę w szpitalu i jak długo, co mam ze sobą wziąć? Dał karteczkę, taki świstek i nic więcej. I jak mam śpiewać na balkonie za poświęcenie się medyków? Traktują nas, pacjentów, na rzeszowskiej urologii jak żebraków. A w Stalowej Woli w ogóle na urologii nie przyjmują, bo nie ma fachowców. Odeszli. Jakże inaczej traktują pacjenta w rzeszowskim Centrum Onkologii, gdzie wszystko jest zorganizowane i chodzi jak w zegarku. Skierowanie jest na druku, podpisane przez lekarza, opieczętowane i omówione z pacjentem, aby wiedział o co chodzi.

cdn.

Miroslaw Osowski



Rys. Barbara Medajska

POEZJA

A tu wieje wiatr na wielkiej trąbie. 52. Antologia Warszawskiej Jesieni Poezji. Redakcja: Jerzy Jankowski – redaktor prowadzący, Zofia Mikuła, Artur Krajewski, Grzegorz Trochimczuk. Współpraca: Marek Wawrzekiewicz. Korekta: Zofia Mikuła. Wydawca: Związek Literatów Polskich, Warszawa 2024, s. 182.

Romana Cegielną-Szczuraszek, *Kompot z wiśni. Wyrób haiku podobny.* Redakcja: Andrzej Dębowski. Wybór wierszy i korekta: Renata Adamska-Garbowska. Fotografiki w książce: Romana Cegielną-Szczuraszek. Projekt okładki: Romana Cegielną-Szczuraszek. Zdjęcie autorki na IV stronie okładki: archiwum własne autorki. Wydawnictwo Autor-skie Andrzej Dębowski, Żelów 2024, s. 68.

Romana Cegielną-Szczuraszek, *„M” jak Miłość.* Redakcja tomu: Dawid Jung. Korekta: Agnieszka Nawrocka. Projekt okładki: Romana Cegielną-Szczuraszek, Barbara Zabłocka. Zdjęcie autorki z archiwum domowego. Seria wydawnicza *Literatura SPP*, tom 15. – redakcja: Łucja Dudzińska, Dawid Jung. Seria wydawnicza *Biblioteka FONT*, tom 69. – redakcja: Łucja Dudzińska. Wydawca: FONT, Poznań 2024, s. 74.

Ewa Frączek, *Jedyna taka rzeczywistość.* Projekt okładki: Małgorzata Południak. Seria *Tangere*. CONVIVO, Warszawa 2023, s. 50.

Marzanna Bogumiła Kielar, *Wilki.* Projekt okładki i zdjęcie na okładce: Olgierd Chmielewski. Ilustracja na skrzydełku okładki: Jan van Kessel, *Sheet of Studies of NinelInsects*. Zdjęcie autorki na skrzydełku: Aleksandra Muzińska. Wydawnictwo Znak, Kraków 2023, s. 56.

Szymon Kowalski, *Konopeum.* Projekt okładki według koncepcji autora: Piotr Molski. CONVIVO, Warszawa 2023, s. 54.

Marcin Małecki, *Na Aucie.* Obrazy: Ela Tom. Opracowanie graficzne: Maria Kuczara. Projekt okładki: Marcin Małecki. Wydawnictwo MK, Kraków 2022, s. 56.

Wiesław Prastowski, *Wszyscy jesteśmy żeglarzami. Wiersze zebrane.* Wiersze zebrała i ułożyła: Iwona Kątnik-Prastowska. Komitet redakcyjny: Barbara Bruziewicz-Mikłaszewska, Patrycja Drozdek, Katarzyna Jungiewicz-Janusz, Bożena Kaniak, Alicja Marczyk-Felba, Małgorzata Niemiec, Dorota Radziszewska, Iwona Świętkowska, Andrzej Kierzak, Andrzej Wojnar (przewodniczący), Krzysztof Wroniecki, Paweł Wróblewski (prezes DRL). Ilustracje: archiwum rodzinne. Projekt okładki: Jakub Fochtman. Wydawca: Dolnośląska Izba Lekarska, Wrocław 2024, s. 502.

Stefan Rusin, *Bez retuszu.* Ilustracja na I stronie okładki: Stefan Rusin. Fotografia na IV stronie okładki z archiwum autora. *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”*, tom 212. Instytut Książki, Gdynia-Kraków 2023, s. 96.

Andrzej Krzysztof Torbus, *Biuro rzeczy znalezionych.* Redakcja: Autor. Projekt okładki i rysunki: Janusz Jutrzenka Trzebiatowski. Przygotowanie do druku: Artur Kozioł. Wydawca: Stowarzyszenie Artystyczno-Literackie, Kraków 2024, s. 40.

Juliusz Wątroba, *Na pięcioliniach snów.* Redakcja: Mirosław Siemiński. Obrazy: Michał Kliś. Fotografia autora: Dawid Świńczyk. Korekta: Barbara Siemińska. Współpraca: Bożena Krzemppek, Joanna Sosna. Wydawca: Krakowski Oddział Związku Literatów Polskich, Kraków 2024, s. 226.

Wczoraj, dziś, jutro... Antologia 40-lecia Kieleckiego Oddziału ZLP. Zespół redakcyjny: Irena Nyczaj, Irena J. Paździerz, Władysława Szproch, Grzegorz Rak, Bogusław Wilkomirski, Anna Zielińska-Brudek. Na okładce wykorzystano grafikę komputerową Elżbiety Musiał. Wydawca: Związek Literatów Polskich – Oddział w Kielcach, Kielce 2024, s. 154.

Krystyna Woźniak, *Niebo pękło sierpniem.* Opracowanie edytorskie: Czesław Ganda. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Michał Bajsarowicz. Do grafik wykorzystano zdjęcia: Eugeniusza Henemana, Tadeusza Bukowskiego, Joachima Joachimczyka, Janusza Bryana oraz ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego. Korekta: Zofia Mikuła. Zdjęcie autorki na okładce: Czesław Ganda. Wydawca: Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Gorzowie Wielkopolskim, Gorzów Wielkopolski 2024, s. 72.

Zapatrzeni w słowa. Redakcja: Marek Maciągowski. Projekt graficzny: Dariusz Ścisło. Wydawca: Związek Literatów Polskich – Oddział w Kielcach, Kielce 2024, s. 92.

PROZA

Gianfranco Calligarich, *Ostatnie lato w mieście.* Przełożyła: Katarzyna Skórska. Projekt okładki: Alicja Kobza. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 224.

Jakub Ciećkiewicz, *Nocny maraton tańca.* Opracowanie graficzne: Patrycja Woźniak. Na okładce ilustracja z *Tańca śmierci* Hansa Holbeina (młodsze). Wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2023, s. 234.

Julia Fiedorczyk, *Dom Oriona. Powieść.* Projekt okładki, stron tytułowych, ilustracje i opracowanie: graficzne Kira Pietrek; ilustracje zawierają elementy rycin z atlasu astronomicznego Johanna Bayera z 1661 roku. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, s. 208.

Barbara Fitowska, *Kroniki Skolopendry.* Okładka: Paulina Radomska-Skierkowska. Postowie: Jakub Winiarski. Wydawnictwo Nowae Res, Gdynia 2023, s. 250.

Barbora Hrinova, *Jednorożce.* Przełożyła:

Olga Stawińska. Projekt okładki: Michalina Jurczyk. Projekt typograficzny: Marcin Her-nas. Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2023, s. 262.

Han Kang, *Nie mówię żegnaj.* Przełożyła: Justyna Najbar-Miller. Redaktorka inicjująca: Joanna Maciuk. Redaktorka prowadząca: Anna Kapuścińska. Redakcja: Gabriela Niemiec. Korekta: Małgorzata Kuśnier, Anna Żońnik. Projekt okładki i stron tytułowych: Paulina Pi-orun. Wydawnictwo WAB, Warszawa 2024, s. 384.

Han Kang, *Wegetarianka.* Z języka koreańskiego przełożyły: Justyna Najbar-Miller i Choi Jeong In. Redaktor prowadzący: Anna Chyckowska. Projekt okładki: Janusz Skierkowski / Poczekałnia pomysłów. Korekta: Patrycja Michalska i Marzena Stefańska-Adams. Wydawnictwo Kwiaty Orientu, Skarżysko-Kamienna 2014, s. 167.

Antoni Kroh, *Anioł śmierci z kilku stron.* Projekt graficzny: Andrzej Barecki. Rysunki Barbara Magierowa. Fotografia na obwolucie: Antoni Kroh. Fotografia na okładce: Andrzej Barecki. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2023, s. 232.

Bogumił Wójcik, *Outremer. Ziemia Obietnic.* Przygotowanie edycji: Jacek Małkowski. Redakcja: Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska. Korekta: Barbara Faron. Projekt okładki: Jacek Małkowski. Ilustracja na okładce: Piel-grzymi pod eskortą templariuszy / Adam Hanuszkiewicz ©Jacek Małkowski / zbiory prywatne. Mapy: Grzegorz Japoł. Wydawnictwo Astra, Kraków 2024, s. 720.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Jacek Pałkiewicz, Krzysztof Petek, *Wojna u progu. Poradnik przetrwania.* Redakcja: Irma Iwaszko. Korekta: Magdalena Szajuk. Wydawnictwo Świat Książki. Warszawa 2022, s. 176.

Michał Witkowski, *Wiara. Autobiografia 1975-1990.* Tom I. Fotografie w książce i na okładce: archiwum prywatne autora. Redaktorka inicjująca: Bogna Rosińska. Redaktorka prowadząca: Dominika Ziemia. Opieka promocyjna: Bogna Piechocka. Redakcja: Ida Świerkocka. Korekta: Małgorzata Kuśnier, Magdalena Wołoszyn-Cępa. Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 2023, s. 478.

Marcel Woźniak, *Tyrmand. Pisarz o białych oczach.* Wydawca i redaktor prowadzący: Adam Pluszka. Redakcja: Małgorzata Kuśnier. Korekta: Anna Sidorek, Jan Jaroszuk. Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne: Anna Pol. Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o., Warszawa 2020, s. 496.

Miroslaw G. Majewski

Pustelnia

Ciszę, tę doskonałą, która powstaje na kilka chwil przed świtem, zakłócał jedynie miarowy plusk wiosel. Wynurzająca się z mgieł łódź, cięta lustro wody, kładąc trzciny po swoich bokach, niczym żniwiarz łany zbóż. Spłoszony remiz wyleciał z gniazda, protestując wysokie „C”.

Mężczyzna przestał wiosłować, ale łódź sunęła dalej, wolniej, ciszej. Trzciny dźwignęły się, ptak wrócił do gniazda. Z głębi puszczy, niesiony przez wodę, dochodził śpiew skowronka. Tafla wody od wschodu zaczęła się złocić.

Świtało...

Pies, półkrwi sznauceer, siedząc na dziobie zastrzygł uszami, po czym zaskamlał cicho, kierując wzrok na swojego pana. Mężczyzna podążył za wzrokiem psa.

Zerwał się na widok który zobaczył, łódź zakolebała się, ale szybko wróciła do równowagi.

- Ki diabeł?

Gdzieś około pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu metrów dwóch wiosłarzy przewoziło fortepian płaskodenną łodzią. Płynęli z północy na południe, tam, gdzie nie było żadnych przystani. Wschodzące właśnie słońce sprawiło, że wyglądali teraz jak postacie z chińskiego teatru cieni.

- Podpłynięmy do nich? - mężczyzna zapytał psa, ale ten tylko zamerdał krótkim ogonkiem, zeskoczył z ławki na dno łodzi, w której pluskała woda, odebrał kilka należnych mu pieszczot i powrócił na swój „mostek”.

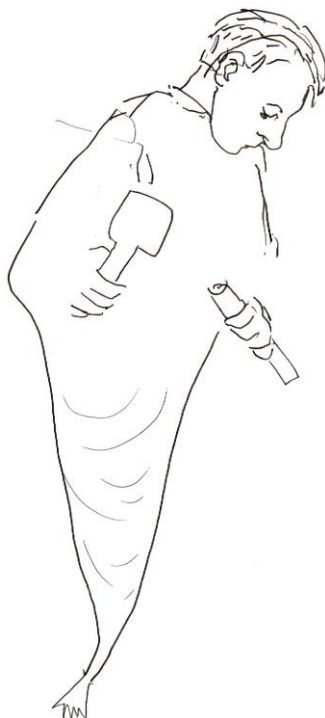
Mężczyzna dobił do brzegu, zacumował z lewej strony prowizorycznej kładki, wyciągnął łódź z chlupiącą na dnie wodą na ląd, tak, jak robił to od zawsze, na jedną trzecią długości. Fale sennie biły o brzeg, wymywając piasek spod korzeni starych olch. Spojrzał na wschód, zerkając kątem oka za uganiającym się własnym ogonem psa. Niebo na wschodzie stawało się jaśniejsze, ciemność z minuty na minutę traciła swą intensywność. Sięgnął po siatkę, w której znajdowało się kilka leszczy, karasi, płoci i sporego okonia. Razem być może pięć kilogramów, a może i więcej. Przez najbliższe dni głód mu nie grozi.

Stał przed oknem skąpany słoneczną poświatą niczym pomnik jakiegoś świętego z religijnych pisemek dla dewotek. Ale daleko mu było do świętości Pustelnika Jano.

- Kurwa - zaklął, odwracając się od okna.

A za oknem szeleściła zbliżające się wielkimi krokami jesień, (choć sierpnie miał się jeszcze całkiem dobrze), tkając mu kobierzec z liści. Słońce kryło się za górkami o łagodnych stokach i tylko stary, świerkowy las nie poddawał się dyktaturze krajobrazu.

Mężczyzna poszedł do sfatygowanego przez czas biurka, na którym stała maszyna do pisania. Usiadł na krześle, które boleśnie zaskrzybiało pod jego ciężarem, wkręcił czystą kartkę i po chwili jego palce zaczęły swój taniec na klawiaturze.



Rys. Barbara Medajska

Jutro minie rok, jak siedzę w tej budzie... Tylko tyle. Odsunął dłonie z klawiatury jakby nie należały do niego, położył je na brzegu biurka i zaczął bębnić palcami. Miał dziwne przeczucie, że coś przeoczył, że o czymś zapomniał. Ale o czym? Wyraźnie nie miał weny. Przyjechał do tej dziury rok temu, aby pisać. Niestety, szło mu to marnie., dokładnie tak, jak teraz, jedno zdanie, akapit, czasem dwa i pustka w głowie. Ni to dziennik, ni powieść, ni esej. Myślał, że na tym od ludzi, wręcz na końcu świata, odnajdzie spokój, ukojenie, a tu mija rok i nic. I nic! Nic? Może nie do końca „nic”. Wyciszył się, rzucił drugi, papierosy, ba, zaczął nawet studiować ziołolecznictwo. Powoli z pisarza zamieniał się w zielarza. Może po to zaszył się w tej dziurze?

Żnowy położył palce na klawiaturze. Nowy akapit:

„Jan stał przed oknem skąpany słoneczną poświatą, wyglądał niczym młody bóg w przeddzień emerytury. Nie był jeszcze starcem, chociaż czuł się staro, jak ta wiekowa lipa w jego obejściu ze spróchniałym pniem. Pojawił się rok temu, by napisać powieść swojego życia. Ale krajobraz był tak uroczy, tak czysty, tak niewinny, że nie pozwalał mu skupić się na niczym innym. Stał się niewolnikiem krajobrazu, więźniem cizy, wyznawcą rozciągających się po horyzont ugorów upstrzonych kępami drzew, porzeczanymi meandrującymi rzekami, strumieniami, strumyczkami. Poszedł nawet dalej, zdradził literaturę, łamiąc swoje młodzińcze śluby, że będzie jej wierny aż do grobowej deski. Ale on, Jan I Szalony nie chce być więcej pisarzem, i to nie dlatego że ma taki kaprys, ale z powodów o wiele wznioślejszych, jak choćby dobro literackiego bractwa”.

Jak się ma takie nazwisko, jakie nosił Jan, można wpaść w kompleksy. Jan Nikt. Być może jego praszczur, któremu nadano to nazwisko, zasłużył sobie na nie w jakiś sposób. A może to było jedynie złośliwość tego, który mu je nadał. A być może to sam antenat Jana nadał sobie taki przydomek, aby podkreślić swoją znikomość. Cóż, ta zagadka zostanie nierozwiązana. Ale nie dba o to. Kiedy był młodszy, myślał nawet o zmianie nazwiska na Nitecki, albo Nitkowski, ale odrzucił go te wszystkie biurokratyczne procedury, papierki, podania, prośby, zaklęcia, chodzenie od drzwi do drzwi, polerowanie klamek, nikłów, marmurów - pomyślał wtedy, że lepiej rzucić to całe miasto, tę zasraną cywilizację i zaszyć się w jakiejś dziurze, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Ale musiało upłynąć jeszcze wiele wody w Drwęcy nim do tego doszło.

Poszedł do żeliwnego piecyka w lewym rogu izby, otworzył drzwiczki, pogrzebaczem rozgrzebał żar, dołożył kilka szczap bukowego drewna i postawił osmolony czajnik na rozgrzewającej się płytce.

I w tym momencie go olśniło! Kilka dni temu Leszek Żuliński świętowałby swoje urodziny, gdyby tylko żył. Może jeszcze nie jest za późno, aby napisać jakieś wspomnienie i wysłać do jakiejś gazety?

Może jutro.

Może jutro...

Woda w osmolonym czajniku zaczęła właśnie się gotować.



Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Redaktor prowadzący - **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Małgorzata Dębowska, prof. Ignacy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Adam Lewandowski, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajska, Janusz Orlikowski, Stefan Rusin, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl